RODZINA polska



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

WARSZAWA

ROK X CZERWIEC 1936



WOJOWNICY ABISYŃSCY







MATURZYŚCI

mogą się zgłaszać do nowicjatu Stowarzyszenia Misyjnego Księży Pallotynów. Nowicjat rozpoczyna się 15 sierpnia. — Zgłoszenia należy przesyłać na ręce Księdza Prowincjała — Warszawa Krakowskie Przedmieście 71.

CHŁOPCY

którzy pragną poświęcić się służbie Bożej w Stowarzyszeniu Misyjnem Księży Pallotynów, mogą się zgłaszać do klasy I-szej gimnazjalnej. Kandydaci winni mieć ukończonych sześć oddziałów szkoły powszechnej. — Zgłoszenia przyjmuje: Dyrekcja Gimnazjum Collegium Marianum — Wadowice, woj. krakowskie, oraz: Dyrekcja Małego Seminarjum — Chełmno, Pomorze.

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK X. WARSZAWA — CZERWIEC 1936. Nr. 6.

ADAM ROMER

FIKCJA A RZECZYWISTOŚĆ

Mszczą się obecnie błędy traktatów pokojowych. Wiedziano dokładnie, że odszkodowanie w żądanej wysokości nie jest do osiągnięcia; ale hasło „le boche payera" (szwab zapłaci) dogadzało znękanym tłumom. Przyczyniło się to do wytworzenia u Niemców postanowienia wykręcenia się wogóle z ciężarów traktatowych. Mimo przykładu Napoleona i Prus, uwierzono w możliwość ograniczenia na zawsze niemieckich sił zbrojnych. Łudzono się, że zwycięskie w wojnie hasło samostanowienia narodów da się na stałe ograniczyć do narodów zwycięskich!

Największą odpowiedzialność za błędy traktatów pokojowych ponosi niewątpliwie tak wszechwładna w Paryżu w okresie rokowań pokojowych masonerja międzynarodowa. Ona to kładła główny nacisk nie na urzeczywistnieniu ideałów narodowych, lecz na utrąceniu znienawidzonych tronów, uważanych za najsilniejsze podpory religijnych podstaw ustrojowych. Przy podziale terytorjów faworyzowano więc wyraźnie rządy, uzależnione od masonerji, by za ich pośrednictwem utrzymać w Europie przewagę doktryn masońskich, dogmatów „wielkiej rewolucji" francuskiej nad prądami katolickiemi i narodowo-zachowaczemi. Dlatego też, godząc się z konieczności na niepodległość Polski, starano się ją jaknajbardziej okroić, by tylko nie „skrzywdzić" ani rządzonej wówczas przez „braci" i „towarzyszów" „republiki Weimarskiej", ani bolszewickiej Rosji. Wzgląd ten decydował o nieprzychylnem dla nas nastawieniu międzynarodówek, od początku wszechwładnych w biurach Ligi Narodów, w chwili najazdu czerwonego na Polskę i w sprawie Gdańska. Dla tejże przyczyny największemi względami cieszyła się od początku Czechosłowacja, do której wcielono przeróżne części cudzych organizmów narodowych, m. in. i ziemie polskie.

W rezultacie traktaty nie przyniosły całkowicie sprawiedliwego pokoju. Nie może być na zawsze „zwycięzców" i „zwyciężonych". Nie wolno dzielić narody na narody anioły i narody djabły, względnie na narody przestępcze i na narody, powołane na żandarmów pokoju. Takie stawianie sprawy jest niesłychanie dalekie od chrześcijańskiego pojęcia braterstwa narodów w Chrystusie, od chrześcijańskich zasad miłości bliźniego. Nic dziwnego; nad obradami konferencji pokojowej nie górowało znamię Krzyża, lecz masońskie i czerwone godła zakłamanego humanitaryzmu i fałszywego pacyfizmu. Zapanowały one również w Genewie, gdzie Polska przez długie lata stale była na ławie oskarżonych.

Marszałek Foch słusznie powołał się na swoje przekonania katolickie, gdy w polemice z przeciwnikami uzasadniał konieczność natychmiastowego zaprzestania przelewu krwi z chwilą wyrażenia zgody przez wrogów na wszystkie warunki rozejmu.

Nie doszły do skutku utopijne pomysły ówczesnych rzeczników z n i s z c z e n i a Niemiec. Późniejsza reakcja nacjonalistyczna w Niemczech powstała na tle nie tyle słabości zwycięzców, ile przeciągania struny.

Jakkolwiekbądź pod wpływem masonerji przesadzano wówczas we Francji w gorliwości zaufania do perfidnego pacyfizmu Stresemanna, którego głównym celem było rozbicie solidarności polsko-francuskiej i uzyskanie wolnej ręki na Wschodzie, przyczem pośrednio mu się udało i na długie lata pozyskać poparcie Włoch dla polityki rewizjonistycznej. Za Brianda uważano bowiem w Paryżu, że lepiej uwzględniać żądania demokratyczno-liberalnych Niemiec, aniżeli spełnić dawne przyrzeczenia wobec faszystowskich Włoch. Z takiego to fałszywego pacyfizmu zrodziło się Locarno, które miało przypieczętować różnice pomiędzy ostateczną stałością zachodniej a względną stałością wschodniej granicy Rzeszy.

Lecz wypadki potoczyły się inaczej. Nieubłaganą jest bowiem logika dziejów. W gruzach legła idyla Briandowsko-Stresemannowska. W Niemczech zapanował najskrajniejszy szowinizm nacjonalistyczny, uosobiony w Hitlerze i petryfikowany ustrojem narodowo-socjalistycznym. Z postanowień militarnych, finansowych i moralnych Traktatu Wersalskiego pozostały strzępy. Groźby zawarte w ewangelji narodowego socjalizmu, w „Mein Kampf", stanęły wobec przerażonej Europy jak złowrogie widmo, bliskie całkowitego zmaterjalizowania się. Powstała „Trzecia Rzesza", gardząca zobowiązaniami dawnych Niemiec jako „świstkami papieru". „Wódz" jej jednak oświadczył gotowość do nowych układów, przyrzekając dotrzymania tylko własnego słowa i własnego podpisu. Konferencja rozbrojeniowa prysła jak bańka mydlana.

Reakcja Europy nie była jednolitą. Polska poszła na wiadomy układ bilateralny, który z jednej strony poważnie odciążył nasze stosunki z Niemcami, z drugiej bardzo się przyczynił do zaciemnienia sojuszu polsko-francuskiego, nadwerężając choćby mimowoli zaufanie. Włochy — po fatalnie poronionej próbie ugody z Niemcami w „pakcie czterech" — groźbą niezwłocznej reakcji

zbrojnej udaremniły ruch hitlerowski w Austrji i poszły na ponowne, daleko idące zbliżenie z Francją i Anglją, ukoronowane układem stresańskim. Francja natomiast, za podszeptem międzynarodówek, — zamiast scementować soolidarność Europy na podstawie istniejących porozumień i sojuszów, — poszła na wciągnięcie Sowietów do Ligi Narodów.

Czerwona eurazja, głosząca jako rację stanu — rewolucję wszechświatową, przygotowywaną przez Moskiewską Centralę Międzynarodówki Komunistycznej, która najcyniczniej i najbrutalniej zdradziła sojuszników w chwili największego napięcia walk i odmówiła zwrotu miljardowych pożyczek, nie może objąć straży pokoju europejskiego — przeciw Hitlerowi. Wysuwanie Sowietów daje tylko atuty do ręki wodzowi narodowego socjalizmu, pozwalając mu występować w roli obrońcy Europy przed czerwonym najazdem. Sytuacja stała się tem gorszą, gdy wyszła na jaw prawda o faktycznym sojuszu pomiędzy Wielkim Wschodem masońskim a Kominternem moskiewskim, zalecającym współdziałanie wszystkich sił, zagrożonych przez faszyzm i hitleryzm... Wiemy więc dzisiaj, że pakty o wzajemnej pomocy z Sowietami i „fronty ludowe", obejmujące ugrupowania lewicowe, od radykalnych do komunistycznych włącznie, są płodami tej samej myśli kierowniczej.

Sytuację tę niesłychanie jeszcze skomplikowała wojna włosko-abisyńska. Wszystkie „ciemne siły" międzynarodowe wykorzystały bowiem antagonizm włosko-angielski dla koncentrycznego ataku na faszyzm pod pozorem — obrony negusa. Włochy zaś, rzucając pełnię swoich sił na podbój czarnego cesarstwa i frondując przeciwko państwom, uczestnikom sankcyj Ligi Narodów, faktycznie są nieczynne chwilowo w straży pokoju europejskiego. Cała niemoc Europy, opartej o fikcyjne gwarancje, okazała się więc w całej pełni po zerwaniu Locarna przez Hitlera, kiedy Francja zwróciła się do „sankcjonowanych" za najazd na Abisynję Włoch, by skolei „sankcjonowały" Niemcy za zmilitaryzowanie Nadrenji, oraz kiedy Anglja, krocząca na czele sankcyj przeciwko Włochom, odmówiła udziału w sankcjach przeciwko Niemcom. Cała interesowność mocarstw i całe zakłamanie systemu Ligi Narodów bardziej jeszcze uwydatniły się w fakcie, że wszyscy niemal uczestnicy sankcyj systematycznie i cynicznie je obchodzą za pośrednictwem państw „neutralnych". Mussolini, wiedząc z kim ma do czynienia i znając całkowitą niezdolność floty angielskiej do dłuższych działań wojennych, tak samo postawił na swojem, jak Hitler, gardzący formułkami, jakiemi strażnicy pokoju starają się ratować pozory. Uwijający się zaś wśród zatrwożonych dyplomatów p. Wałach-Litwinow w roli anioła pokoju tak jest groteskowym, że organ Stolicy Świętej słusznie uznał za konieczne zastrzec się przeciwko pomysłom wprowadzenia Sowietów do samego serca Europy, jako gwaranta status quo nad Dunajem. Cóż z tego, kiedy sojusz sowiecko-czeski już podobno daje lotnictwu czerwonemu okazję do znalezienia się na tyłach tej samej armji polskiej, która sama jedna ocaliła w 1920 r. „cudem nad Wisłą" Europę przed „burzą od wschodu" i nadal, wierna nieśmiertelnym tradycjom Jagiellonów, Batorego i Sobieskiego, uważa za swoją misję dziejową twardo stać na straży Zachodu i chrześcijaństwa w obliczu wschodniego barbarzyństwa. Jakżeż wygodnie dziś dla dyplomacji sowieckiej móc szczuć jedne państwa Europy przeciwko drugim, przy pomocy tak zasobnej w intrygi, sprzymierzonej masonerji, by przygotować w ten sposób teren pod wymarzoną bolszewizację Europy, tej samej Europy, która przez tak długie lata dopomagała kredytami i dostawami do obecnych koszmarnych zbrojeń mocarstwa czerwonego antychrysta, szykującego się pod płaszczykiem pacyfizmu do walnej rozprawy z światem Chrystusowym.

Tak wygląda genewska fikcja pokoju, wprowadzająca do europejskiej Troji podejrzane „konie" do ryzykownej pomocy. Sojusze państw, mających wspólne interesy, są oczywiście najbardziej wskazane, wymagają one jednak wzajemnej lojalności i zaufania. To samo tyczy się paktów, z paktem Ligi Narodów na czele, który wolno każdemu jej członkowi wypowiedzieć, którego jednak nie godzi się obchodzić, jak to się dzieje w obecnym okresie rozluźnienia obyczajów międzynarodowych. Im szerszym jest pakt, im więcej obejmuje państw, tem mniej powinien zawierać szczegółowych zobowiązań. Toteż słusznie gen. Wł. Sikorski proponuje szerszy system zbiorowych paktów o nieagresji z jednej i ściślejsze łączenie się Polski z państwami o tożsamych interesach w tej części Europy z drugiej strony. Oczywiście Polska musi bezwzględnie przestrzegać zasady, by nikt nie decydował o nas bez nas i nawzajem. Musimy również pamiętać, że wskrzeszenie Polski nastąpiło zrządzeniem Opatrzności wbrew największym potęgom przedwojennego świata, że więc konieczności dziejowe mają swoje źródło w prawie przyrodzonem, którego żadne pakty łamać nie zdołają. Musimy strzec naszej misji historycznej obrony chrześcijaństwa w roli jego opoki wschodniej oraz zachować przyjaźń, niezależnie od „taktyki", wobec narodów, z któremi połączyły nas dzieje. Sprzeniewierzenie się sojuszom z Francją i Rumunją byłoby równie nie mądre i nie ładne, jak sprzeniewierzenie się przyjaźni z Węgrami. Żadna jednak polityka mocarstwowa i sojusznicza, żadne rachuby na uniknięcie rozprawy „krwią i żelazem" z b. zaborcami nie są realne bez posiadania przygotowanego na wszelkie ewentualności własnego pogotowia zbrojnego i bez dostatecznej jedności narodowej, której rząd byłby ponadpartyjnym wyrazem; oto grunt! Ideałem zaś pokojowym chrześcijańskiego państwa może być tylko braterstwo wszystkich narodów w Chrystusie, braterstwo, którego urzeczywistnienie wymaga przywrócenia Stolicy Apostolskiej jej przyrodzonej roli rozjemcy na miejsce wszelkich międzynarodowych fikcyj sprawiedliwości masońskiej. Tylko taki pokój będzie przewidującym i trwałym.



Jak mało znaczy ziemska potęga! Cesarz Abisynji niedawno odbierał wielkie hołdy, a dziś już tuła się po obcej ziemi

K. KIERSNOWSKI

ŻĄDANIA RODZICÓW WOBEC NAUCZYCIELI

Jeżeli mówimy dziś o „nauczycielu", nie mamy na myśli „bakałarza", to jest człowieka, który ma dać dzieciom naszym, młodzieży tylko pewien zasób wiedzy, ale jednocześnie wychowawcę młodego pokolenia. Właściwie i średniowieczny „bakałarz" nie był tylko dawcą wiedzy; jego rola wychowawcza wypływała z natury rzeczy z samego faktu obcowania z pozostającem pod jego kierownictwem młodem pokoleniem, ale to nie było jego bezpośredniem zadaniem.

Dziś zdajemy sobie już sprawę z tego, że z udzielaniem nauki jest ściśle związane wychowanie. Prawda, znamy dziś specjalnych wychowawców (klasowych), znamy wychowawczynie w różnych ogródkach i przedszkolach, — ale jest to tylko jakgdyby większa specjalizacja pewnej grupy nauczycieli. W zasadzie dziś każdy nauczyciel jest wychowawcą i tem bardziej musi nim być, im bardziej na pierwszy plan wysuwa się w szkole wychowanie przed nauczanie.

Nie wchodzę w ocenę słuszności tego kierunku, tego nastawienia zadań szkoły, — stwierdzam tylko fakt, z którym przy rozważaniu żądań, stawianych przez rodziców nauczycielom, liczyć się musimy.

Może dalej powstać wątpliwość, czy może być wogóle mowa o stawianiu przez rodziców żądań nauczycielom, jeżeli to nie jest nauczyciel domowy. Wszak rodzice oddają dzieci swoje do szkoły na naukę i połączone z nią wychowanie. Szkoła pozostaje pod kierownictwem właściciela, dyrektora. Kierunek szkole nadaje państwo, organizacja lub osoba, do których szkoła należy. Jeżeli państwo nawet nie ma monopolu szkolnego, — co równałoby się ujednostajnieniu kierunku wychowania, — to w każdym razie wysuwa ono szereg postulatów, które szkoła spełniać powinna. Z tego wynika, że nie rodzice stawiają nauczyciolem te lub inne wymagania w zakresie wykonywania przez nich zadań wychowawczych, ale kierownictwo szkoły posłuszne nakazom, otrzymywanym od państwa, organizacji lub innego właściciela szkoły. W takim razie rodzice mieliby tylko dokonać wyboru tej lub innej szkoły, o określonym ideowym kierunku, i pozostawić kierownictwu dalszą troskę o wprowadzenie tej idei w życie przez nauczycieli pracujących w szkole.

Byłoby to nadzwyczajnem uproszczeniem sprawy. Rzecz nie przedstawia się jednak tak prosto, jeśli przyjmiemy pod uwagę:

że dziecko powinno wyjść z domu rodzicielskiego zasadniczo już z pewnem ideowem, moralnem obliczem;

że dziecko, uczęszczające do szkoły, nie przestaje pozostawać pod wpływem domu rodzicielskiego;

że ideowe nastawienie państwa, kierunku wychowawczego, nadawanego przez państwo, niezawsze odpowiada ideowemu nastawieniu społeczeństwa rządzonego, ideowemu nastawieniu narodu;

że pomimo najbardziej doskonałego uzgodnienia ideowego kierownictwa szkoły z wykonawcami, nauczycielami-wychowawcami w szkole, nieuniknione są pewne

indywidualne odchylenia, wynikające chociażby z tego, że człowiek mniejwięcej myślący, to nie precyzyjnie pracująca maszyna;

że przedmiot pracy — dziecko, to także nie szablon ale glina plastyczna, z której można bardzo dużo dobrze lub źle ulepić.

Dlatego też ingerencja rodziców w dziedzinę wychowania nie może ustawać z chwilą oddania dziecka do szkoły. Konieczność ingerencji na tle tych stwierdzeń stanie się zupełnie wyraźna, jeśli uprzytomnimy sobie jak naprzykład u nas w Polsce, wykonanie wskazań wychowawczych odbiega często i to bardzo zasadniczo od kierunku nadawanego, a w każdym razie formalnie zapowiadanego z góry.

Ingerencja taka staje się w czasach obecnych koniecznoscią zwłaszcza dla katolickiej Polski, gdy w świecie myśli i nauki zbieramy plony z posiewu materjalizmu i liberalizmu nietylko czasów minionych ale i dzisiejszych. Bo materjalizm, jak wszelki chwast, jak wszelkie zło, ma tę przerażającą właściwość bujnego rozpleniania się i zagłuszania plonu ziarna szlachetnego, plonu myśli Bożej, oderwanej od spraw przyziemnych.

Konieczność ingerencji, to możność, to mus nawet stawiania wychowawcom dzieci naszych pewnych wymagań. Nie chodzi w tej chwili o to, w jakiej formie wymagania będą i mogą być stawiane.

Może to być walka o ideologję szkoły z państwowem kierownictwem oświaty w danej chwili, jeżeli ta ideologja odbiega od nastawienia przeważającej, podstawowej myśli rządzonego społeczeństwa, narodu. Będzie to głównie droga walki publicznej, parlamentarnej, politycznej.

Może to być walka o naszą ideologję z kierownictwem szkoły, jeśli ono samo jest bierne lub nie ma dostatecznej własnej siły, by zło powstające stłumić. A więc będzie to albo dążenie do zmiany w kierownictwie, albo sukurs opinji dany kierownictwu w jego nacisku na nauczycieli-wychowawców.

Wreszcie może to być osobiste zetknięcie się z nauczycielem, porozumienie się z nim, wytknięcie błędów, sformułowanie żądanych zmian.

Więc nie chodzi o to, w jakiej formie rodzice będą stawiali swoje wymagania, lecz czego, w tej lub innej formie, na tej lub innej drodze, będą żądali od nauczycieli swych dzieci.

Będą żądali, aby ideologja, którą nauczyciel wpaja dzieciom, aby zasady moralne, na których chce oprzeć rozwój duszy dziecka, były zgodne z ideologją i moralnością społeczeństwa, którego cząstką są dzieci wychowywane, którego cząstką powinien być nauczyciel, dla nas w Polsce zgodne z ideologją chrześcijańską i katolicką. Nauczyciel powinien być w zgodzie z tą ideologją nietylko wówczas, gdy występuje w roli wychowawcy, ale i wówczas, gdy jest nauczycielem w bardziej ciasnem znaczeniu tego wyrazu. Wiedza, którą podaje dzieciom — młodzieży, nie może stać w sprzeczności z wymaganą ideologją rozwijaną poza nauką bądź przez tegoż nauczyciela, bądź przez innych współpracujących nad dzieckiem. Nauczyciel powinien być w zgodzie z tą ideologją nietylko wówczas, gdy wychowuje i naucza, ale i w całem swojem życiu prywatnem. Bowiem młodzież bardzo szybko spostrzeże, jeżeli nauczyciel postępuje inaczej niż naucza, i wpływ jego moralny pryśnie jak bańka mydlana.

Rodzice będą wymagali, aby ideały i poglądy wpajane dzieciom przez nauczyciela nie stały w sprzeczności z tem, co dzieci słyszą w domu, z kierunkiem domu. Będą wymagali, aby nauczyciel nie burzył tego, co zbudowała praca rodziców. Nauczyciel, wychowując dziecko, powinien nietylko rozumieć ogólne moralne, ideologiczne nastawienie domu rodzicielskiego, ale wczuć się w indywidualnego ducha tego domu i w postępowaniu swojem stosować się do niego, jeśli on nie stoi w sprzeczności z ogólnem ideologicznem nastawieniem tego domu. Tak dziś szeroko propagowana współpraca domu rodzicielskiego i szkoły, — pozwoli nauczycielowi wywrzeć wpływ na to, aby zostały usunięte szkodliwe dla wychowania dziecka sprzeczności w układzie życia rodzinnego, sprzeczności pomiędzy postępowaniem rodziców a ideologicznem nastawieniem teoretycznem.

Wreszcie rodzice mogą też wymagać od nauczycieli uwzględnienia w wychowaniu indywidualności dziecka. Właściwie jest to postulat ogólno-wychowawczy i może nie potrzebowałby podkreślenia jako postulat, stanowiący specjalne uprawnienie rodziców. Jednak nie można go pominąć całkowicie milczeniem wobec dziś bardzo rozpowszechnionej tendencji do „zgleichszaltowania”, do pewnej „standaryzacji” w zakresie pojęcia dobrze wychowanego dziecka.

Tak, jak powyżej ujęte, uprawnienia rodziców do stawiania nauczycielom pewnych żądań zawierają jedno pozorne niebezpieczeństwo: obok rodziców opierających swe życie i wychowanie na katolicyzmie, na chrześcijaństwie, wogóle na jakiejkolwiek idei o większej lub mniejszej wartości, znajdujemy rodziców, którzy ideałów żadnych nie mają, — ludzi areligijnych, amoralnych, wolnomyślicieli, bezbożników i t. d., ludzi zakażonych mikrobem materjalizmu i negacji. A więc, zdawałoby się, musielibyśmy dać prawo żądania od nauczycieli pozostawienia odłogiem duszy dziecka takich rodziców, ba nawet wyrywania z niej tego, co do niej z dobrego, napotkanego poza domem, przylgnąć mogło. Niebezpieczeństwo to jednak nazwałem pozornem. Bo dobrze scementowane społeczeństwo, naród zorganizowany we własnem państwie, nie będzie dopuszczał do głosu nigdzie, a więc i w szkole elementów burzących, elementów destrukcyjnych. Tacy rodzice w takiem państwie nietylko nie będą mogli stawiać żądań nauczycielom, ale będą zmuszeni sami podporządkować się ogólnym ideałom pod grozą wyeliminowania ze społeczeństwa, pod grozą pozostawania poza nawiasem narodu i państwa.

Wreszcie jedna uwaga. Przy stawianiu zadań może zachodzić kolizja pomiędzy doświadczeniem wychowawczem nauczyciela a niedoświadczeniem rodziców, pomiędzy wyrobieniem ideowem jednych i drugich. Nie przeczę, że tak być może. Chwilową obroną przeciw temu powinien być takt strony bardziej doświadczonej, strony bardziej wyrobionej. Ale chodzić musi o zapobieżenie takim możliwościom na stałe. Dlatego konieczne jest pogłębienie uświadomienia ideowego, uświadomienia katolickiego, w społeczeństwie wogóle, a w tym wypadku w szczególności uświadomienia szerokich sfer rodziców, co do ich zadań i roli wychowawczej, a co za tem idzie, należytego przygotowania ich do tych zadań.



Bastjon Rybaków w Budapeszcie

ZDZISŁAW KARR-JAWORSKI

WRAŻENIA Z BUDAPESZTU

Krótki list naczelnego redaktora, papiery, paszport, bilet i oto... w 48 godzin jestem już w Budapeszcie.

Nie wiem dlaczego, ale pierwsze kroki skierowałem na — Rakoczy utca do Café Ostende.

Chciałem siąść, tuż, tuż, bliziutko — koło owej słynnej kapeli — której muzyka sprawiła, że rzuciłem wszystko i pojechałem do stolicy Węgier.

Siedzę właśnie przy stoliku i piszę.

Budapesztu jeszcze nie widziałem. Otuliła go noc, barwna w miljony świateł, reklam i reflektorów.

Na dużem podjum czeka na znak dyrygenta trzydziestka nieletnich cyganiąt w narodowych strojach. Dyrygentem jest najmłodszy, może 9-letni chłopak, który od czasu do czasu śpiewa stare romanse, lub najnowsze melodje.

Śpiewa, ale jak śpiewa!

Jest to coś naprawdę nadzwyczajnego.

Przed czarnym malcem stoi aparatura radja. Słuchają go całe Węgry. Od czasu do czasu oślepiający błysk magnezji przerywa nastrój. To dziennikarze i zagraniczni reporterzy filmują orkiestrę i jej czołowego, dziesięcioletniego śpiewaka.

Przepełniona po brzegi sala, bije brawa, lub podchwytując melodję, śpiewa, z siłą węgierskiego temperamentu.

Wśród stolików uwijają się kelnerzy, władający wszystkiemi ważniejszemi językami.

Całość tonie w powodzi jarzącego się światła.

Cyganięta objechały już pół świata i ... tak bardzo chciałyby przyjechać jeszcze do Warszawy, ale... nie moja w tem rzecz i nie znam się na sprawach engagement.

. . . .

Odurzony muzyką wyszedłem na ulicę. Skierowałem swe kroki do Ungar Pension, Vaciu utca 19, tam bowiem mieszkałem przez — jakżeż krótkich jedenaście dni.

Spotkała mnie nazajutrz przemiła niespodzianka. Cały stół był ubrany w polskie chorągieweczki, zrobione z białej i czerwonej wstążki.

Była to domowa manifestacja na cześć gościa z Polski.

Wogóle cały Budapeszt nie rozmawia o niczem innem, tylko o Polsce i o premjerze Kościałkowskim. Właśnie jutro przyjeżdża. Wszystko przygotowane. I oto, jak grom, strzeliła w miasto wiadomość, że przyjazd został odwołany w ostatniej chwili.

Po mieście krążą najróżniejsze domysły.

— Co się stało?

— Chory?

— Influenza?

— Rozruchy we Lwowie?

— Kiedy przyjedzie?

— Czy w tem niema przypadkiem roboty z Quai d'Orsay?

A o smutnej rzeczywistości świadczy fakt pośpiesznego zdejmowania flag, sztandarów i dekoracyj.

Na wielu pomnikach nie zapalono tego wieczoru świateł.

. . . .

Trudno!

Bez bardzo poważnych przyczyn nie odwołuje się takiego przyjazdu w ostatniej chwili. Tak musiało być. Miało to jednak duże następstwa, gdyż entuzjazm przygasł nieco i gdy nazajutrz wszyscy dowiedzieli się, że

minister polski przyjedzie dopiero za trzy dni, przyzwyczajono się do tego faktu, i tłum nie reagował tak gorąco jak wczoraj jeszcze na słowo: Polska.

Co było potem — wiecie sami, P. T. Czytelnicy, z gazet, nie będę więc pisał o tych wszystkich uroczystościach.

Nas obchodzi życie, dobre i złe strony, i folklor tego miljonowego miasta.

. . . .

„Si la terre est le chapeau de Dieu
Notre pays en est le bouquet de fleur,
Tant ce pays est beau et florissant
Tant il enchente l'oeil et l'ame".

Tak wyraził się Petöfi, największy poeta węgierski.

Powiedział prawdę, gdyż Węgry są krajem o specjalnym uroku, który człowieka chwyta w swe niepodzielne władanie, a który daje wizje i wrażenia, jakich nadarmo szukałbyś w innej części Europy.

Nieskończoność malowniczych równin, bezkresne pola złotokłosych zbóż, gra świateł i chmur na usłonecznionem niebie, dzwonki trzody zmieszane z galopem tabunów koni i te morza „sierocych włosów" (węgierska trawa) — wszystko to każe marzyć, a potem tęsknić do madziarskiego krajobrazu.

. . . .

Otoczona Alpami Austrjackiemi, łańcuchem Karpat, górami Transylwanji i Kroacji, równina Dunaju, tworzy rodzaj cyrku, zamkniętego ze wszystkich stron, którego zadziwiająca zwartość linij geograficznych jest najbardziej doskonałą w Europie. Środek tego cyrku był zamieszkany przez lud azjatycki, który przyjął chrześcijanizm w średniowieczu. Jest to rasa wojownicza, odważna, a niekiedy okrutna.

Węgierska rodzina





Pomnik św. Stefana króla z lewej strony

Będąc jeszcze feodalną i religijną, jest silnie reprezentowana przez wielkich posiadaczy ziemskich i kler wiejski.

Bez żadnego pokrewieństwa z sąsiadami słowiańskimi i bałkańskimi, Madziarowie tworzą naród oryginalny, aż do wyjątkowości. Ich język, który nie jest podobny do żadnego w Europie, oddziela ich od wszystkich.

Wspomnienia wielkiej przeszłości, żal spowodu zniszczenia i wielki patrjotyzm — scementowały i połączyły klasy.

Dzisiejsze Węgry są zwarte i zjednoczone.

Jest jasne, że Węgry nie akceptują Traktatu w Trianon, który im został wmuszony i który je tak skrzywdził. Węgry bronią się przeciw Traktatowi taksamo dziś, jak i w dniu jego ogłoszenia.

Aljanci nie pozwolili na powrót Habsburgów i monarchja wydaje sią Węgrom symbolem niepodległości.

W małym pokoiku klasztoru w Tihany, gdzie abdykował ostatni król Węgier, naręcza kwiatów wznoszą się na wysokość człowieka przed portretem króla Karola IV — świadka wielkiej przeszłości.



Pomnik św. Stefana króla z prawej strony

Węgry zostały królestwem.

Premjer uważa się za „Lieutenant" monarchy i nosi tytuł Regenta Królestwa. Jest powołany do przechowania świętego depozytu i gotowy do oddania go nietkniętym, chyba powiększonym i odrestaurowanym.

Podczas święta narodowego, za relikwjami św. Stefana, otoczony przez kawalerów maltańskich i straż pałacową, eskortowany przez arcyksiążąt i tłum magnatów, idzie Regent samotny i oddalony jak przystoi temu, który zajmuje miejsce króla. We wszystkiem widzi się upartą wolę, nie zniżać się przed przeznaczeniem.

Pokój w Trianon został zawarty w atmosferze szczególnie niekorzystnej i dla konstrukcyj mądrych i trwałych. Rola rozjemców należała do wielkich państw aljanckich, lecz dla nich te okolice Europy wschodniej były dalekie i mało znane. W rezultacie pozostawiono własnemu losowi odradzające się narody i obdarzono wielkiem zaufaniem: Serbów, Rumunów, a przedewszystkiem Czechów.

Było to w momencie pracy nad Traktatem.

Dwom wybitnym ludziom: Beneszowi i Massarykowi, dzięki ich inteligencji, kulturze, szybkości decyzji i przenikliwości, zawdzięcza się stworzenie Czechosłowacji, państwa o zadziwiającej strukturze, jakiej historja jeszcze nie znała.

Ze wszystkich traktatów pokojowych, ten w Trianon był najbardziej surowy, odcinający od Węgier 63% mieszkańców, 71% terytorjum. Bardzo rzadko jakiś naród zniósł podobne rygory.

Węgry, porównując dawne bogactwo z obecną nędzą, czują się niesłychanie pokrzywdzone Traktatem w Trianon.

. . . .

Na wielkim dziedzińcu stoją tłumy. Hr. Pallavicini prowadzi nas na krużganek królewskiego pałacu.

Zdala dochodzi nas warkot werbla.

W głębi wielkiej bramy ukazuje się pierwszy hufiec, potem drugi... Orkiestra gra. Historyczna zmiana warty we wspaniałych strojach — to wielkie święto Budapesztu.

Dzieci wpatrzone z zachwytem w barwnych rycerzy, marzą o pięknej ojczyźnie i o tem... by kiedyś nosić taki sam mundur. Dorośli — wsłuchani w dźwięki narodowego marsza — powtarzają cicho modlitwę rozdartych Węgier:

„Wierzę w Boga jedynego
I w Ojczyznę wierzę jedną,
Wierzę w wieczną sprawiedliwość
Jakoteż w zmartwychwstanie Węgier.
Amen".

Taka jest dziś modlitwa każdego Węgra. Na każdym widnieje miejscu, w tramwajach, teatrach, sklepach i t. d..

Węgierska kobieta z Baranya



I tu właśnie, na Zamku, ma ona swe najdonioślejsze znaczenie.

Werbel gra......!

Usta szepcą modlitwę, lub przeklinają twórców Traktatu w Trianon.

Trianon!

Słowo, które rani jak miecz serce każdego Madziara.

Modlitwa dzisiejszych Węgier w oryginale brzmi, jak następuje:

Hiszek egy Istenben.
Hiszek egy Hazaben,
Hiszek egy isteni örökigazsaban
Hiszek Magyarorszag feltamadasaban.
Amen.

. . . .

Tłum rozchodzi się powoli, ktoś jeszcze powtarza półgłosem:

Hiszek egy Istenben.......

Nagle... hr. Pallavicini odzywa się do mnie najczystszą polszczyzną:

„Jeszcze Węgry nie zginęły
Póki my żyjemy —
Co nam obca przemoc wzięła"....

Nie skończył, tylko oczy świeciły mu się jak u głodnego wilka, a piękna, siwa broda drżała lekko, jakgdyby z tłumionego siłą wzruszenia.

Rozmawialiśmy chwilę jeszcze na pustym już dziedzińcu. Z murów patrzyła na nas wspaniała tysiącletnia historja Węgier.

Dziś...... miecz Arpada rdzewiał w skrwawionej pochwie.

Schodziliśmy ku Pestowi!

— Jeszcze Węgry nie zginęły — powtórzyłem półgłosem.

. . . .

Być w Rzymie i nie zobaczyć Papieża, to to samo, co być w Paryżu i nie być na wieży Eiffla, lub zwiedzać Budapeszt i nie podziwiać go z tarasu Kioszku.

Kioszk jest to kawiarnia-winiarnia na samym prawie szczycie góry św. Gerarda, u której stóp płynie Dunaj. Po brzegach rozesłały się: historyczna Buda i bardziej nowoczesny Peszt.

Pniemy się po wykutych w skale schodach.

Coraz wyżej...

Wyżej...

Panorama Budapesztu coraz wspanialsza i szersza.

Na połowie drogi przystajemy na dłuższą chwilę.

— Cudnie!

Najwspanialsza panorama, jaką można zobaczyć na kuli ziemskiej.

Zamykamy szybko oczy, by sobie nie popsuć uczty, jaka nas czekała na szczycie.

Jakżeż bardzo żałuję, że załączone zdjęcia dadzą P. T. Czytelnikom ledwie znikomą część tego piękna, jakie podziwialiśmy z tarasu Kioszku.

Oto w dole tuż pod nami płynie Dunaj, wpoprzek którego spoczęły lekkie o wysmukłej linji mosty.

Przed nami... katedra św. Stefana... tuż nad rzeką Parlament. Na lewo potężny Zamek Królewski i Bastjon Rybaków... a wszystkie te cuda otoczone wzgórzami o jakżeż modrym kolorze.

Wszystkie strony świata dostają się pod obstrzał aparatów fotograficznych.

Po godzinie siadamy przy stolikach, oczywiście na pierwszy ogień idzie gulasz. Węgierski prawdziwy gulasz cielęcy z papryką, zakrapiamy go winem czerwonem, potem białem — wreszcie wyśmienitą morelówką t. zw. na Węgrzech: barack.

Postanowiliśmy siedzieć na szczycie, by zobaczyć Budapeszt o zmroku i nocą.

Węgierska owca



Zobaczyć, jak Budapeszt stroi się w swą świetlaną szatę.

A tymczasem słuchaliśmy cygańskiej muzyki.

Grupa cyganów obległa nasz stolik i tuż nad uchem poczęła grać swoje żałosne melodje.

Wtórowały im pozostałe na miejscu basy, wiolonczele i... cymbały, ten nieodzowny instrument cygańskiej orkiestry.

Muzykanci szybko zorjentowali się, że jesteśmy Polakami, bo nagle całą potęgą siły gruchnęła w Kioszku „Jeszcze Polska nie zginęła"' — a potem wszystkie krakowiaki i mazurki, w które „czort znajet" dlaczego wpleciono „Oczy czarne Twe".

Fakt ten wprowadził nas w niekłamany humor. Mazurek Dąbrowskiego, jak i inne skoczne krakowiaki, były, mimo wszystko, mocno scymbalone, to znaczy przerobione na modłę cygańską, coś à la nasze kujawiaki w lunch-barach w Londynie, wcale to jednak nie przeszkadzało, że całość wypadła bardzo pięknie.

Tymczasem nadchodził szybko zmrok.

Przed naszemi oczyma zaczął powstawać miraż... miraż miljona kolorowych świateł.

Najpierw tu i tam... niby świętojańskie ogniki, poczęły się zapalać poszczególne lampy.

Potem niby w sznur srebrzystych gwiazdek ustroiły się brzegi Dunaju.

A potem... miasto utonęło w powodzi reklam i świateł.

Tu wspaniale iluminowany Parlament odbija się w lustrze rzeki, tam świetlista kopuła Katedry strzela ku niebu.

Bastjon Rybaków wygląda, jak w bajce z tysiąca i jednej nocy.

Patrzymy... patrzymy osłupiali.

To stworzył genjusz ludzki!

Ale...... niczem byłoby to piękno, gdyby Bóg nie rozlał tędy tej pięknej rzeki i nie ustroił tego zakątka ziemi w tak wspaniały krajobraz.

Bóg stworzył, a człowiek ustroił tylko piękno Boże...

Mimowoli — człowiek staje się taki mały... maleńki...

Piękno, nieskazitelne piękno przytłacza go swoim ogromem, ale jednocześnie czyni go lepszym i szlachetniejszym.

Około 10-tej wieczorem zaczęła się w Budapeszcie najpotężniejsza w Europie symfonja świateł i cieni.

— Jeśli ktoś naprawdę ma stracić pieniądze zagranicą... to winien je zostawić tu w Budapeszcie, bo równego mu piękna nigdzie nie znajdzie.

Nagle......

Cyganie zaczęli grać „Smutną Niedzielę".



Wesele w Esöhöly



Wieś węgierska



Węgierska zagroda

Wino, cuda przed chwilą widziane i ta muzyka oszałamiająca, doprowadziły nas do stanu niezwykłego napięcia.

Czuliśmy się szczęśliwi i dziwnie beztroscy.

Każdy z nas żałował tylko, że nie miał przy sobie najbliższych istot, by dzielić z niemi te tak rzadkie, a tak piękne w życiu chwile.

Cyganie otoczyli nas znowu.

Ze skrzypiec ich poczęły płynąć tony niezwykłej muzyki, która zabrała na tamten świat kilkudziesięciu samobójców.

Nie jest to żadne tango, ani wogóle żaden taniec, jak sądzą wszyscy w Polsce.

Jest to melodja, którą rozumieją i grać potrafią tylko węgierscy cyganie.

W Kioszku zrobiło się cicho.

Nawet służba przystanęła, choć po tysiąckroć słyszała tutaj te tony.

Cygan śpiewał... a za nim rozśpiewała się cała sala, by nagle... z jednej ostateczności wpaść w drugą.

Pierwszy skrzypek zaintonował skocznego czardasza.

Czardasz!

Twarze rozjaśniły się. Ktoś poderwał się nawet do tańca.

Pod nami...... płonął Budapeszt, nad nami usiane miljardem gwiazd niebo.

Schody Bastjonu Rybaków





Kościół Koronacyjny w nocy

Budapeszt jest jednem z największych na świecie miast — t. zw. miastem wód. Kilka kilometrów wzdłuż Dunaju, ciągną się nieprzerwanym łańcuchem wielkie zakłady kąpielowe, z których najcudowniej urządzonym jest St. Gellert Fürdo.

Jest to hotel, połączony bezpośrednio z leczniczemi źródłami. Podobne urządzenia można sobie wyobrazić tylko w bajce.

Źródła St. Gellert dają dwa miljony 600 tysięcy litrów wody radjoaktywnej dziennie, o temperaturze + 47 stopni C.

Oto załączone zdjęcie da P. T. Czytelnikom wyobrażenie o tych marmurowych wspaniałościach, o tych basenach pełnych najwyszukańszego luksusu, a zamykających w sobie cudowne wody, tryskające bezpośrednio z głębin ziemi.

Najciekawszem zjawiskiem dla turysty jest t. zw. kąpiel w szampanie.

W olbrzymim basenie urządzono sztuczne fale, a z dna wydobywają się miljardy drobnych kropel powietrza, musującego w świetle tęczowych reflektorów.

Widok naprawdę jest wspaniały.

I co najciekawsze, że kąpiele te, pobyt i całkowite utrzymanie jest dostępne dla każdego śmiertelnika.

Hotel St. Gellert — ustanowił t. zw. cenę ryczałtową 100 zł. tygodniowo z utrzymaniem i prawem korzystania z basenów. Jest to cena zupełnie nie wygórowana, jeśli porównamy z nią to, co wzamian dostajemy.



Katedra Prymasów w Esztergom

A zresztą... raz w życiu można poświęcić 200 zł. na 15 dni. Warto, naprawdę warto.

Hotel ten ma 240 pokoi, 80 sal kąpielowych. Woda gorąca i zimna w każdej ubikacji. Ogrzewanie centralne, 5 wind, 200 bezpośrednich telefonów z miastem i na cały świat, 60 aparatów radjowych najwyższej klasy, świetlne sygnały zamiast dzwonków, wytworna, różnojęzyczna obsługa, golf, park, tarasy, otwarte baseny, wodotryski, palmiarnie, bibljoteki, salony, i t. d. i t. d.....

A potem... orkiestry, sale balowe, mogące pomieścić do 1.200 osób, lokalny bank, księgarnię, i znowu cały międzynarodowy aparat zlokalizowany na miejscu — wreszcie aparat gastronomiczny, dostosowany do żołądków wszystkich krajów. — Oto mniejwięcej całość tego pałacu wód.

Istnieje legenda, że poganie, ująwszy św. Gellerta, zamknęli go w beczce nabitej gwoździami i strącili ze skał góry, noszącej dziś jego imię.

U stóp góry, z męczeńskiej krwi, wytrysnęły tak słynne i tak skuteczne gorące źródła św. Gellerta.

Piękna, ale i niepozbawiona prawdziwego cudu legenda.

Widok kąpieliska św. Gerarda ze szczytu góry Jego imienia



Hotel, noszący nazwę tegoż świętego, posiada prócz kąpieli wodnych: kąpiele błotne, sale inhalacyjne, kąpiele węglowe, hydroterapję, kąpiele słoneczne i kwarcowe i cały dziesiątek innych jeszcze kąpieli, na których jako człowiek zdrów i nie lekarz, nie znam się i nie chcę powtarzać, by nie wkradła się w nazwy czasem jakaś śmieszna omyłka.

. . . .

Węgry mają i swoje morze.

Jest niem oczywiście jezioro Balaton, największe spośród jezior Europy centralnej. Długie, na 78 kilometrów, w swej szerokości waha się od 6 do 14 kilometrów. Obwód jeziora przekracza 200 klm.

Potężny obrus wodny, haftowany jest na brzegach — na północy zadrzewionemi górami, lasami i falistemi winnicami, na południu zaś — polami i ogrodami.

Wody Balatonu nagrzewają się niezwykle szybko, o to dzięki stosunkowo niewielkiej głębokości (od 3 do 5 metrów).



W jednym tylko miejscu w pobliżu Tihany, głębokość jeziora wynosi 11 metrów.

Temperatura wody dochodzi do 26 stopni ciepła, toteż w maju, a raczej w końcu ciepłego kwietnia, południowa część Balatonu jest oblężona przez amatorów kąpieli.

Niezwykle pięknem jest to węgierskie morze. Wille, pensjonaty, hotele, rozrzucone na jego „wybrzeżach" — wyglądają jak małe pałacyki z bajki. Zjeżdża się tu cały Budapeszt i... cała Europa.

Nic dziwnego — bo woda i klimat Balatonu, są zalecane przez wszystkich lekarzy — zwłaszcza dla rekonwalescentów po ciężkich chorobach, a krajobraz i niezwykle łagodny klimat — czarem i atmosferą — leczą najbardziej stargane nerwy.

. . . .

Tak się jakoś złożyło, że zamieszkałem u rodziny węgierskiej, nie zaś w hotelu.

Dzięki temu właśnie mogłem się przyjrzeć zbliska jej wartościom, jakich nie-

Fragment kąpieliska św. Gerarda

Sala wypoczynkowa kąpieliska św. Łukasza



wątpliwie nie dostrzegłbym w hotelowym pokoju.

Długie rozmowy, prowadzone wieczorami, pozwoliły mi wyczuć, że rodzina węgierska przeżywa potężny dramat.

Z ust dziecka i starca nie przestaje wychodzić słowo — Trianon, to przeklęte słowo, które stało się powodem biedy, bezrobocia i cichej, lecz pełnej ambicji, zażartej walki o byt.

Bardzo religijni, o silnie rozwiniętem poczuciu honoru, zwarci mocno w najistotniejszą komórkę, jaką jest rodzina — Węgrzy wierzą głęboko w odrodzenie swego narodu.

— Bezrobocie jest plagą nietylko naszego kraju, jest ono powszechne, ale u nas tem dotkliwsze — że całemu szeregowi państw wzbogaconych naszym kosztem — nie zależy bynajmniej na tem, byśmy się stali mocni i bogaci.

Oto zdanie — wyjęte z „rozmów nad Dunajem", jeśli się można tak wyrazić.

Dumny patrjotyzm, idzie w parze w rodzinie węgierskiej z wysoką moralnością, spotykaną coraz rzadziej za zachodzie Europy.

Rzeczą mało prawdopodobną napozór, a jednak istotną jest — że rodzina węgierska w zdumiewający wprost sposób jest podobną we wszystkich cechach do rodziny polskiej.

Wieś i miasto na Węgrzech różni się od polskich wsi i miast jedynie językiem i krajobrazem — zasadniczych zaś różnic niema.

Może jedynie duma narodowa jest bardziej rozwinięta u przeciętnego Węgra, niż u Polaka, pozatem uprzejmość Madziarów jest posunięta do najwyższych granic.

Pierwsze miejsce w rodzinie zajmuje zawsze i niepodzielnie matka, dla której wszyscy mają nietylko rodzinny, ale i historyczny — powiedziałbym szacunek.

Matka — symbol dawnych świętych Węgier — matka — wychowawczyni nowego pokolenia, które musi, musi, musi wywalczyć sobie nowe wielkie Węgry. W tym też duchu kształtuje się wszystko w komórce rodzinnej.

Troska materjalna schodzi na plan ostatni — gdy idzie o ojczyznę.

Matki — córy bohaterów i wielkich królów — wychowują nowych bohaterów, by wprowadzić na tron jeszcze za ich życia — wielkiego króla.

. . . .

Szybko minęły dwa tygodnie. Siedzę oto już w swoim pokoju pochylony nad biurkiem.

I znów nastawiłem radjo na... Budapeszt. (Dok. na str. 184).







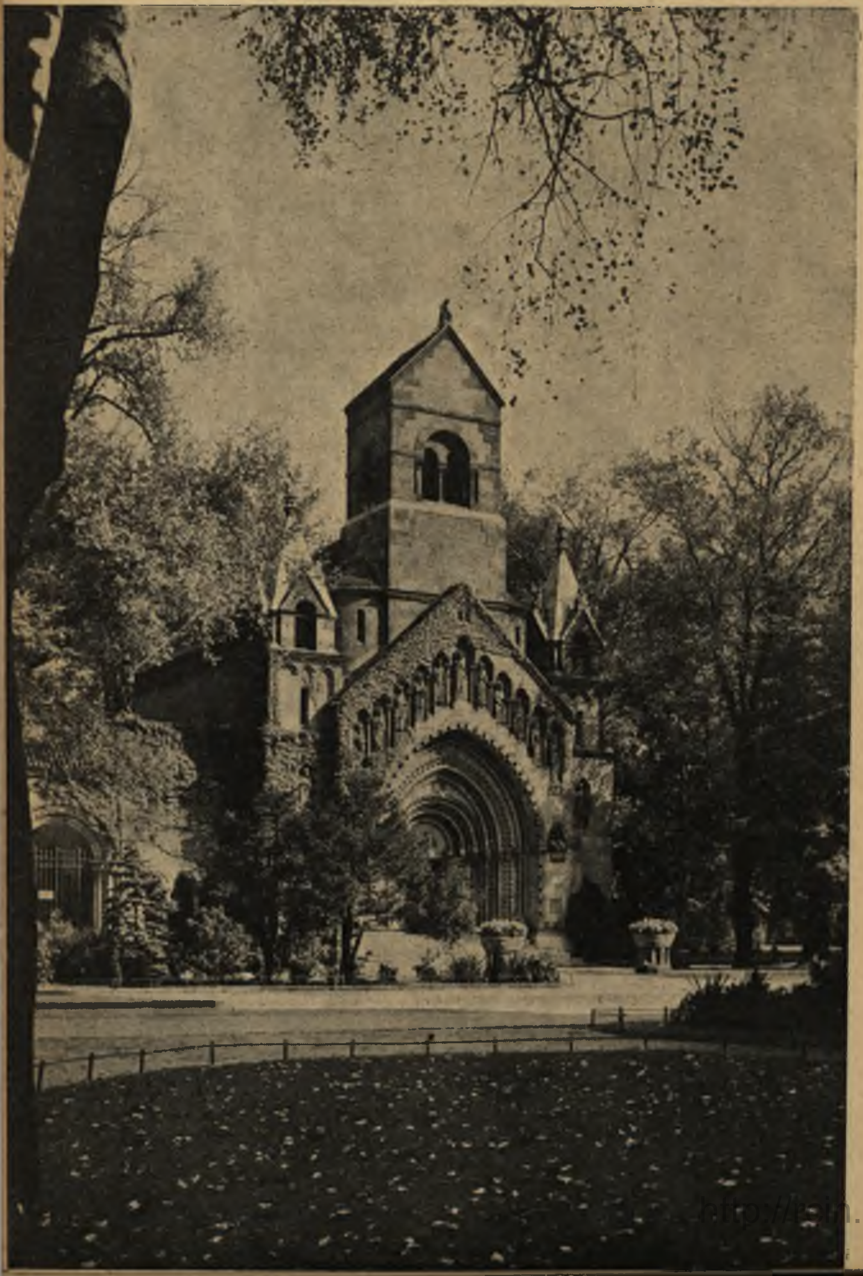
Święcenie pól na Węgrzech

Strzyżenie owiec

Owce na pastwisku



Zmiana warty



Na lewo: kościół w Jak

Poniżej: dziewczę z Agardu



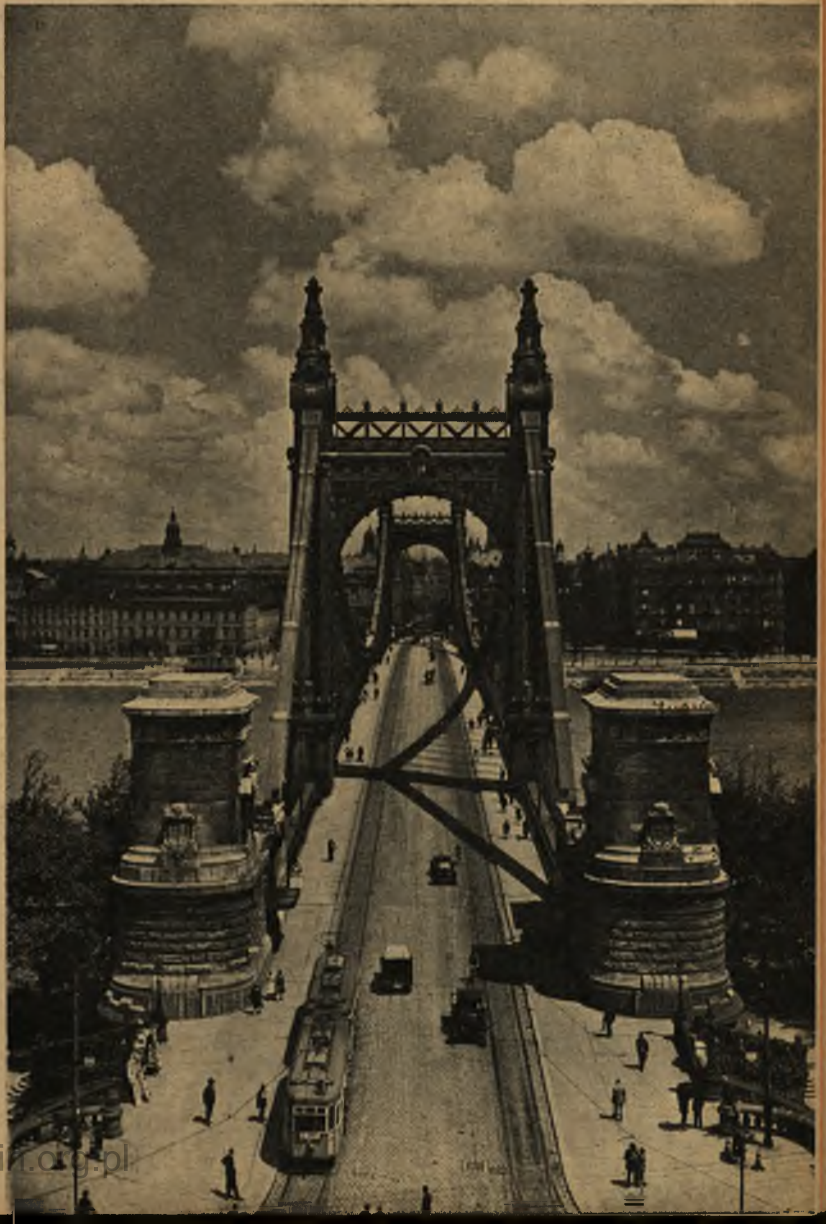
Orka wiosenna w Sióagard



Kościół Koronacyjny w dzień



Most św. Elżbiety



Prof. Dr. FASSBENDER

ASCEZA A HIGJENA

Na przekór pustemu materjalizmowi ubiegłego stulecia, przyjmuje się dzisiaj naogół dość powszechnie, że nie wszystkie objawy życiowe można sprowadzić do wspólnego mianownika fizykalnych i chemicznych zjawisk; mówi się dzisiaj coraz powszechniej o „własnym bycie” i „własnem ustawodawstwie” życia. O ile jednak są ludzie, którzy mniemają, że zapomocą pojęć: „byt własny” i „własne ustawodawstwo“ — ujęli praprzyczynę i ostateczny sens czynnika „biologicznego”, to popełniają bardzo wielki błąd. W ten sposób nie dotrą do jądra zagadnienia, na które duch ludzki w swej żądzy wiedzy pragnie znaleźć odpowiedź. Człowiek ma również potrzeby metafizyczne, a one, jeśli chodzi o czynnik biologiczny, nie dadzą zadowolić się tem, że zamiast wyrazu „metafizyka” użyje się słowa „metabiologja”. O ile ktoś przyznaje, że w biologji również włada celowość w sensie przydatności do celu lub inaczej „teleologja”, to badający duch ludzki z tem większą siłą stawia pytanie, lub raczej wysuwa żądanie przyjęcia absolutnego stwórcy i rządcy wszechrzeczy w takiem znaczeniu, jakie w chrześcijańskiem objawieniu posiada Bóg.

Związek zachodzący pomiędzy biologicznem a religijnem myśleniem ma nietylko znaczenie naukowe przez to, że w gmachu myśli wypełnia otwartą w przeciwnym razie lukę, ale odgrywa on także w życiu człowieka higjeniczną i etyczną rolę. Przedewszystkiem trzeba biologiczną myśl zasadniczą oceniać i uważać za podstawę pielęgnacji i troski o zdrowie człowieka z tego tytułu, że ona pozwala wrodzonej, jako naturalna zdolność, ciału ludzkiemu celowości wyrobić się na naturalną siłę leczniczą, a czynności lekarskie stosuje jako środki regulujące i uzupełniające siły przyrody. Ale religja, względnie etyka, ma wywierać kształtujący wpływ na sposób życia człowieka. Lecz jakiż bliższy stosunek mogą nawzajem zawiązać biologja i religja? Tu nasuwa się przedewszystkiem zagadnienie chrześcijańskiej ascezy, jako teocentrycznie i chrystocentrycznie zorjentowanego wyrobienia woli, w stosunku do przyrodoznawznawczej biologji.

Chrześcijanin powinien, z wzrokiem utkwionym w wieczność, dobywszy wszelkich sił, pracować i działać w doczesności; powinien, myśląc z jednej strony o śmierci, z drugiej nie zaniedbywać słusznych wymagań życia względnie umiejętności życia; powinien odważyć właściwie walki i cierpienia, gdzie i jak każde z nich ma się znaleźć. W życiu religijnem przedstawia ogromne znaczenie możność ustrzeżenia się zarówno z jednej strony biernego supranaturalizmu, albo soleramentalizmu, jak z drugiej strony jednostronnego etycyzmu. Pierwsze: nie zaniedbując własnego ludzkiego wysiłku o postęp moralny, drugie: nie zapominając o skazaniu na pomoc łaski Bożej i o konieczności współdziałania z łaską. W języku teologji katolickiej pojęcie „asceza” obejmuje wszystkie normy tych starań.

Że do ascezy należy przedewszystkiem uporządkowanie również popędów człowieka, nie ulega żadnej wątpliwości. Już w pierwszych wiekach chrześcijań-

Dokończenie art. Wrażenia z Budapesztu.

Z tej samej Café Ostende na Rakoczy utca — nadają muzykę cygańską. Jakżeż inaczej ją teraz rozumiem.

W pamięci przesuwają mi się tak bliskie jeszcze wspomnienia.

Muzea, galerje sztuki, wnętrza królewskiego zamku, parlamentu, charakterystyczne kawiarnie, wycieczki za miasto, nad Balaton i do Lillafüred.

Patrzę na zdjęcia i na stos różnojęzycznych książek.

La Hongrie après les Traité de Trianon, Polonais et Hongrois — Kossanyego, Fly my swallow — Steina, Reviser les traites — Rouxa, Poemes Hongrois, Les oefforts culturels de la Hongrie, i. t. d. i t. d.

Na półkach leży cała literatura węgierska.

Wszystko to mówi do mnie pięknem wspomnieniem, wspomnieniem najwspanialszej wycieczki, jaką zrobiłem w życiu...

Wszystko to mówi o tej cudnej muzyce, o tych nocach nad Dunajem i na puszcie, o tych górach i jeziorach, o poezji i pieśni...

Ale w tem wszystkiem tkwi dramatyczna nuta... nuta tragedji Węgier rozdartych na ćwierci, jak ongiś — Polska.

Wszystko to tchnie potężnym protestem.

— NEM!... NEM!... SOHA...!

— Nie!... Nie!... Nigdy...!

— Nigdy Węgry nie zgodzą się na Trianon!



Kościół św. Pankracego

stwa znajdujemy tę postawę nawróconego człowieka wobec podniet zmysłowych i ulegania popędom. Popędy jako takie nie mają w sobie żadnej moralnej wartości, są w sobie ani dobre, ani złe, lecz należą do teleologicznego szafunku ludzkiej natury, mając za wielkie zadanie gwarantować utrzymanie jednostki ludzkiej i rodzaju ludzkiego. Chrześcijanin jednak nie może dać się opanować systemowi popędowemu, wbudowanemu w jego cielesno-duchowy organizm — domaga się tego godność ludzkiego rozumu. Przez to wszakże, iż zaspokojenie popędów jest połączone z użyciem, zagraża człowiekowi moralne niebezpieczeństwo najpierw co do tego, że nie będzie już dawał wogóle żadnego posłuchu dla głosu rozumu, o ile będzie chodziło o zadowolenie popędów, lecz szukać będzie tylko użycia, a powtóre, że będzie się starał doznać użycia bez względu i w oderwaniu od zamierzonego przez Stwórcę ziszczenia naturalnego celu, związanego z danym organem, a więc dążyć będzie do użycia, jako do szczególnego celu, jako do celu w sobie. Staniemy jednak bezpośrednio na linji stycznej między ascezą a biologją, o ile weźmiemy pod uwagę dziedzinę ludzkiego żywienia.

Żywienie, które samo w sobie spełnić ma czysto biologiczny cel utrzymania ciała i które wspólne jest człowiekowi wraz z wszystkiemi innemi organicznemi istotami, można również wprzągnąć w służbę ascezy. Jest przytem możliwe, że z ascetycznych powodów wybrany sposób życia zgoła nie będzie się różnił w zewnętrznych objawach od biologicznego, tylko ze względów zdrowotnych obranego sposobu życia, opartego na nowoczesnej reformie życiowej. Różnica w danym razie może się ograniczyć do duchowego nastawienia. Podobnie jak również człowiek może wykonywać swe prace zawodowe tylko jedynie dla zdobycia chleba i, by spełnić obowiązki swego urzędu, drugi natomiast czyni to również, równocześnie jednak wykonuje swoje czynności w przekonaniu, że spełnia wolę Bożą na stanowisku, na którem go Bóg postawił.

Czyż nie spłoną rumieńcem wstydu pewne chrześcijańskie koła na widok, że niektórzy ludzie bez religijnych, osobliwie chrześcijańskich poglądów na życie, a tylko z czysto zdrowotnych względów prowadzą o wiele surowszy i bardziej opanowany tryb życia niżli niektórzy chrześcijanie, którym tak dobrze byłoby do twarzy z wyrzeczeniem się zadowolenia zachcianek podniebienia? Sprzeczność tę słusznie chłoszcze znany z licznych prac psycholog, profesor Lindworsky T. J. w swej pięknej książce „Psychologie der Askese", w której podnosi, jak „duch nowoczesnego, higjenicznego odżywiania łączy się w tak pięknej harmonji z duchem wstrzemięźliwości i religijnego panowania nad sobą". Lindworsky wyraża równocześnie swój głęboki żal z tego powodu, że w klasztorach i wśród personelu pielęgniarskiego po szpitalach zbyt mało się krzewi znajomość nowoczesnej umiejętności odżywiania. Również w łonie kleru jest bardzo dużo ludzi, którzy nie znają, co w swym wielkim podręczniku „Asketik" mówi ojciec Zimmerman T. J., mianowicie, że w dzisiejszym stanie wiedzy i poglądów cnota odżywiania sięga dalej, niżli dawne w tej mierze wyobrażenia, z czem również zgadza się benedyktyn, Jerzy Koch, w swej książeczce „Das menschliche Leben", podnosząc także, iż dotychczasowych rozróżnień cnót w dziedzinie odżywiania nie można żadną miarą uważać za wystarczające i wyczerpujące. Ogół obowiązków katolika w dziedzinie odżywiania określi się właściwie dopiero wówczas, gdy się uprzytomni sobie stanowisko katolickiego Kościoła wobec samobójstwa.

Jeśli przez wyraz „samobójstwo" rozumie się, jak to bywa naogół, prawie tylko nagle, gwałtownie zadaną



Wagon kolejki linowej na Kacprowy Wierch

sobie własnoręcznie śmierć, to popełnia się z gruntu fałszywy błąd. W tem pojęciu mieści się również przedwczesna śmierć, spowodowana powolnie wskutek fałszywego trybu życia. O ile trybu życia niektórych ludzi, pomimo własnej ich winy w wypadkach nienaturalnego skrócenia życia, nie obarczało się zarzutem popełnienia ciężkiej przewiny, działo się to tylko wskutek braku u nich uświadomienia. Lecz trzeba przytem zauważyć, iż istnieje zawiniony a przez to grzeszny brak uświadomienia. Nie ulega tedy wątpliwości, że tem konieczniej trzeba krzewić znajomość prawdziwego, higjenicznego trybu życia.

Tak bardzo się różni całkiem jasno podstawowa myśl ascetyczna od higjenicznej, tak niewiele jedna drugą wyczerpuje, równie mało jedna drugą wyłącza; myśl higjeniczna musi raczej się łączyć z ascetyczną również w sensie ascezy.

Spójrzmy teraz na najważniejsze formy, w których od wieków zawarła się chrześcijańska asceza, będzie to czasowy post i albo trwałe, albo również tylko czasowe wstrzymanie się od potraw mięsnych. Są niewątpliwie ludzie, którzy jedno i drugie uważają za bezpośrednio szkodliwe dla zdrowia. Nie można zaprzeczyć, że w toku chrześcijańskiej historji kościelnej spotykamy miejscami formy ascezy, które trzeba uznać za bezpośrednio szkodzące zdrowiu. Chodzi tu o heroiczną abnegację, którą można podziwiać, ale niepodobna naśladować. Ale o poście i wegeterjańskiem odżywianiu posiadamy bardzo wnikliwe oświadczenia wiedzy lekarskiej, które na podstawie własnego, lekarskiego doświadczenia stwierdzają korzystne oddziaływanie obojga. Niedawno w Hippokrates-Verlag w Stuttgart, spod pióra dwóch praktycznych lekarzy wyszły dwie książki, które powinien przeczytać właściwie każdy lekarz i każdy duchowny, ponieważ obie prace zawierają wielką na życiu i doświadczeniu opartą mądrość. Jedna książka nosi tytuł „Heilfasten" i pochodzi spod pióra dr. med. Buchingera. Wyłożono w niej, że pewne, czasowe wstrzymanie się od wszelkiego przyjmowania pożywienia stać się może źródłem zdrowia, mogącem wyleczyć i faktycznie leczącem choroby, które stawiają czoło wszelkiej, innej kuracji. Przytem wywody autora opierają się na bogatem doświadczeniu. Wszystko, co pisze, przeżył przez ciąg 15 lat swej lekarskiej praktyki, kierując w tym czasie niemniej jak tylko 3.200 kuracyj postnych. O ile więc niektórzy ludzie mają wstręt do postu, bojąc się przezeń ściągnąć na siebie osłabienie ciała, to znajdują się w wielkim błędzie. Z treści wymienionej książki należy przytoczyć przedewszystkiem trzy zasadnicze myśli: 1. Postu nie można mieszać z głodem; nie można go odbywać z uczuciem przymusu, należy go odbywać z dążeniem ku wyzdrowieniu i oczyszczeniu. 2. Post nie powinien odbywać się mechanicznie, lecz czas postu powinien „być wieczną minutą ciszy w zgiełku życia". 3. Jest nietylko post leczniczy, ale również zaradczy; post z całej swej istoty jest właściwie sprawą samotności, interesem rozmyślnego, duchowo-cielesnego oczyszczenia, pewnej pokuty, którą odprawia się najlepiej w cielesnem i duchowem zaciszu.

Godzi się wniknąć nieco bliżej w treść tej wartościowej książki. Na wstępie wykazano na podstawie historji, jaka rolę od najdawniejszych czasów odgrywał post w religjach rozmaitych ludów. Następnie wykazano, że post jako środek utrzymania i zdobycia zdrowia jest starą rzeczą w medycynie. Buchinger podaje przegląd odnośnej literatury i słyszymy np. jak sławny filozof Roger Bacon już w XIII wieku napisał rozprawę o sposobie odwlekania dolegliwości starczego wieku, w czem szczególną rolę post odgrywa. Z XVII wieku warto wspomnieć interesującą pracę przybocznego lekarza króla pruskiego, Fryderyka I, profesora uniwersytetu w Halli, dr. Hoffmanna: „Wie man manche schwere Krankheit durch Mässigkit und Fasten kurieren kann". Niech wolno będzie wspomnieć dalej zdanie profesora Wunderlicha z roku 1848, zawarte w jego terapeutycznym podręczniku: „Zapomocą diety i spokoju można wykurować większość wogóle uleczalnych chorób". Przez słowo „dieta" rozumie tu Wunderlich przedewszystkiem post. Buchinger ciągle podnosi wyraźnie konieczność połączenia modlitwy z postem i to również wyraźnie z lekarskiego punktu widzenia. Jako szczególnie godne uwagi rozdziały należy, prócz historji postu leczniczego, podnieść rozdziały dotyczące psychologji postu, fizjologji postu z opisem jego oddziaływań na różne organy cielesne i systemy i u różnych chorób, metody postu, dorocznego przeczyszczającego postu, zaradczego postu, postu jako pokuty, modlitwy i postu. Buchinger nie waha się wcale obiecać sobie zgoła cudownego rozwoju ludzkości po dorocznym poście w ramach zdrowotnej atmosfery chrześcijańskiej.

Co dotyczy ograniczenia użycia mięsa, co w sensie katolickiego przykazania kościelnego powinno nastąpić podczas postu, a w ciągu roku w piątki każdego tygodnia, to żądanie to zgadza się doskonale z dzisiejszą nauką o odżywianiu. Owszem, by uczynić zadość wymogom nowoczesnej wiedzy, ograniczenie użycia mięsa powinno być właściwie jeszcze większe. Przy silnem używaniu mięsa następuje obciążenie ciała materjami, które wywołują chorobliwe osady i wzmożoną produkcję zgnilizny. Dlatego zupełnie bezmięsne dni — i to możliwie częste w ciągu tygodnia — są nadzwyczaj korzystne dla zdrowia. Co dalej mówi ascetyka o zwalczaniu łakomstwa, wszystko to ma ogromne znaczenie według rezultatów dzisiejszej nauki o odżywianiu: powoli jeść, dokładnie żuć, nigdy nie najadać się do sytości, żywić się przeważnie pokarmami roślinnemi. Pod tym względem zasługuje również na uwagę dzieło lekarza, znanego w szerokich kołach dr. medycyny Birchner-Bennera „Diätetische Heilbehandlung — Erfahrungen und Perspektiwen". Omawia ono odżywianie się roślinami podczas choroby i zdrowia. Omówiona w tej książce sprawa surówek jest bezwątpienia ważna dla zaprowadzenia porządku w potrawach w duchu chrześcijańskiej ascezy. Przez to jednak nikt niema zamiaru powiedzieć, że wszyscy ludzie muszą zostać wegetarjanami i jaroszami. Ale w związku z poruszanemi tu zagadnieniami jest rzeczą bardzo doniosłą posłuchać, jakie znaczenie dla zdrowia posiada roślinne przeważnie odżywianie albo przynajmniej lakto-vegetabile odżywianie.

Wywody swoje zamykam zdaniem subtelnego pisarza, Piotra Lipperta T. J., zawartego w pięknej książce „Christentum und Lebenskunst": Poważni ludzie wszystkich czasów, a także wszystkich religij żywili w swej duszy pewną bojaźń wobec wszelkiego rodzaju chuci, nawet gdy to była powszednia rozkosz podniebienia, odczuwana w jedzeniu i piciu. Doznawali pewnego uczucia, że musi być niewłaściwem starać się o rozkosz ze względu na nią samą... O ile jednak powie się, że nie mamy spocząć w używaniu ze względu na nie samo, wówczas wyraża się myśl, że nie możemy go pozbawić wszelkich pozostałych ograniczeń, zadań i odpowiedzialności, ciążących na naszem życiu... Kto nigdy o tem nie zapomina i nie daje ujść swej uwadze, ten jest całym człowiekiem i prowadzi całe i jednolite życie. Każdej radości, każdej kropli zadowolenia, którą otrzyma w darze, da znaleźć ujście w zbiorowym nurcie swego życia. On nic nie traci i nic nie marnuje i nie czyni się niegodnym zadowolenia, którego doznaje".

JÓZEF ST. CZARNECKI

WARSZAWA PRZYSZŁOŚCI

Fantazja nieziszczalna, czy oczekiwana rzeczywistość?! Oto pytanie, które ciśnie się na usta zwiedzającemu wystawę Warszawa — przyszłości.

Z planów i olbrzymich makiet wyrasta wspaniała wizja, zbyt wspaniała, by łatwo przyszło w nią uwierzyć. Tem nie mniej tyle jest w tem wszystkiem rysów realnych, tyle siły sugestywnej mocno uargumentowanej, że wkońcu wierzyć zaczynamy.

Twórcy planów Warszawy przyszłości nie snują snów na jawie, lecz tworzą program pracy niezbędnej, aby uczynić z syreniego grodu naprawdę stolicę wielkiego państwa.

Przedewszystkiem na wstępie różne szematy unaoczniają nam fakt, że Warszawa powstała na skrzyżowaniu wielkich szlaków: transkontynentalnego, ciągnącego się przez oś lądu Europy z zachodu na wschód i międzymorskiego z północy na południe. Jest jakgdyby funkcją przecięcia się szeregu tras komunikacyjnych. W miejscach największego ich uwęzlenia powinny powstać główne ośrodki przemysłowe i handlowe.

W tym celu trzeba podkreślić w konstrukcji urbanistycznej miasta pewne zasadnicze elementy komunikacyjne.

Z projektów, które oglądamy, bije myśl przekształcenia obecnego promienistego układu komunikacyjnego na układ pasm zorganizowanych.

Podstawą jego będzie główny krzyż komunikacyjny, stworzony z przecięcia Alei Jerozolimskiej i jej równoległych z prostopadłą arterją N. S.

Gdy się przyjrzeć bliżej na planach temu układowi nowego kośćca miasta, łatwo można się przekonać o ewolucji, jakiej miasto podlegało w ciągu wieków, o przenoszeniu się jego ośrodka w teren, który jeszcze lat temu kilkadziesiąt był szczerą wsią. Wraz z tem ulega demobilizacji funkcjonalnej szereg dawnych ośrodków.

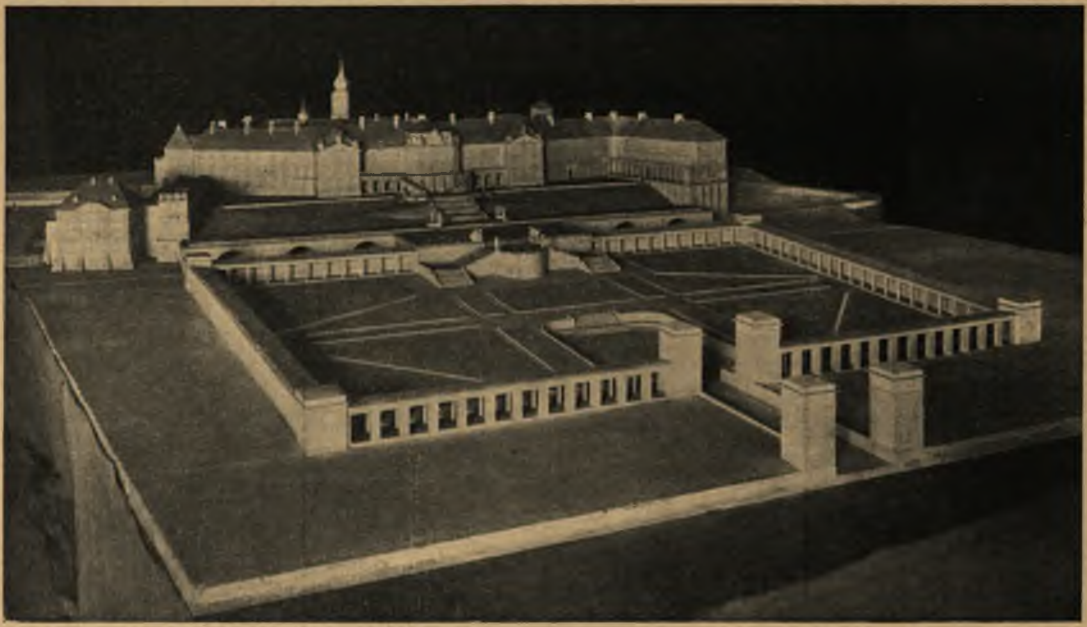
Przedewszystkiem wymienić należy tu Stare Miasto. Z dzielnicy stanowiącej ongiś właściwe miasto, później główny jego ośrodek, Stare Miasto powoli staje się rezerwatem zabytkowym, w którym nie dzieje się nic ważnego, w którym kontemplujemy przeszłość. Teraźniejszość obrała sobie dziś siedlisko na odcinku przecięcia Alei Jerozolimskich, Nowego Świata i Marszałkowskiej.

A przyszłość serce miasta ulokuje w miejscu skrzyżowania N. S. z Jerozolimską Aleją.

Według tego procesu przesuwania się ośrodka miasta będzie się kształtować szereg innych elementów starych i nowych.



Stare miasto w „Warszawie Przyszłości"



Tak ma wyglądać Zamek Królewski od. strony Wisły

Stare będą porządkowane i modernizowane, aby można je było bez trudności włączyć w ogólny system miasta, nowe będzie się tworzyć a właściwie już się je tworzy z rozmachem godnym wielkiej stolicy.

Wysuwa się tu na czoło dwa piony krystalizacyjne miasta. Tworzona na nowo oś dzielnicy Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tu staną najznakomitsze gmachy Warszawy przyszłości. Biegunem podstawowym będzie pomnik Marszałka na Rozdrożu, biegunem wyjściowym Pole Chwały. Potężny pion zieleni, biegnący między temi dwoma akcentami, stworzy łącznik między rezerwatami Łazienkowsko-Sierakowskim i Mokotowskim.

O trzy kilometry dalej na północ leży stara, ale zaniedbana oś Ogrodu Saskiego i Placu Marszałka, której trzeba przywrócić tradycyjny wygląd przez otwarcie jej wylotu ku Wiśle i dalej przez projektowany most i wspaniałe przedłużenie monumentalną trasą Żelaznej Bramy na miejscu obecnych hal i koszar mirowskich.

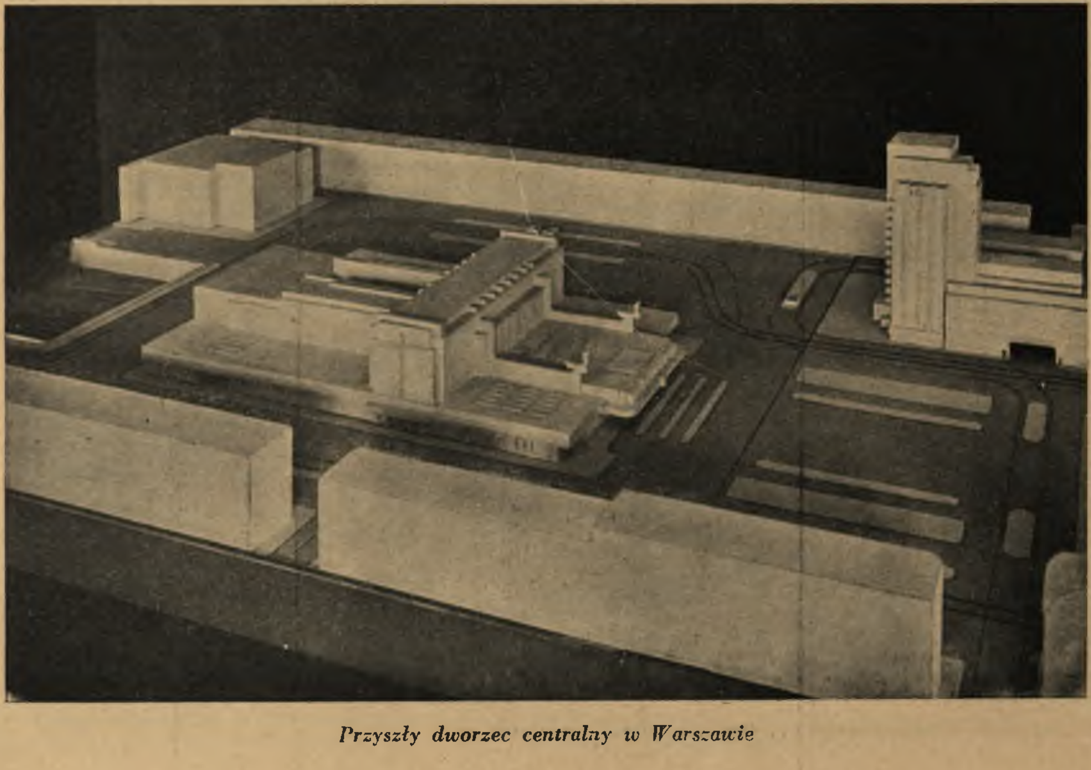
Obok tych dwu osi istnieje starodawna oś Zamku Królewskiego z jej przelotem na Pragę przez most Kierbiedzia, kompleks Belwedersko - Łazienkowski, stanowiący odpowiednik symetryczny zamku w układzie miasta.

Pozatem tworzą się lub wykształcają: oś Cytadeli, Aleja Słowiańska na Marymoncie, Królikarnia, oś projektowanego parku sportowego na Siekierkach, Wilanów i Natolin.

Ten układ pionów zachodnio-wschodnich musi mieć jakieś powiązanie podstawowe. Tworzy je w sposób naturalny Wisła i jej pobrzeże. Niestety, powiązanie to zostało całkowicie zaniedbane. Stąd konieczność jego zrekonstruowania w formie alei na Skarpie i pod Skarpą.

Te aleje stworzą piękną perspektywę na malownicze kompleksy urbanistyczne nadwiślańskiego zbocza na szeroki brzeg praski po drugiej stronie rzeki i powiążą najprostszą arterją komunikacyjną Zamek Królewski z Natolinem ku południowi i szeregiem osiedli na linji Czerska i w stronie Pilicy. Z drugiej strony w kierunku Bielan i projektowanych osiedli nad Narwią.

Niestety, wśród tak poważnie rozbudowanych planów stolicy Praga stosunkowo mniej znajduje miejsca. Z większych projektów regulacyjnych wysuwa się jedynie pomysł wielkiej osi monumentalnej, związanej z główną trasą komunikacyjną Alei Waszyngtona, któraby tereny Saskiej Kępy powiązała z Olszynką Grochowską i lasami wawerskiemi i południowo-wschodnim pasem uzdrowisk. Pozatem przedłużenie Zygmuntowskiej i parę mostów. To niewiele.



Przyszły dworzec centralny w Warszawie

W planach Warszawy przyszłości więcej też znajdujemy zielonych plam. Dotychczasowy bowiem przydział zieleni na głowę 2,5 m^2 jest zbyt minimalny i stanowi z punku widzenia zdrowia i kultury fizycznej poprostu groźne niebezpieczeństwo.

Jeśli chodzi wreszcie

o system zabudowy, to Warszawa przyszłości zerwie kategorycznie z budowlami podwórzowo-studniowemi. Normą będzie system wolny i blokowo-szeregowy, zależnie od dzielnicy.

Wśród licznych zagadnień istnienia przyszłej Warszawy poza kwestją arteryj komunikacyjnych jest kwestja środków komunikacyjnych. Oczywiście układ i charakter tras komunikacyjnych wpływa na zastosowanie właściwych środków.

Komunikacja miejska posługuje się dziś czterema rodzajami środków: tramwajem, autobusem, trolleybusem (elektrycznym autobusem) i metrem (kolejką podziemną).

Warszawa, jak wiadomo, nie posiada do tej pory metra. Jego wybudowanie jest nakazem najbliższej przyszłości. Metro będzie składać się z koła o dużym obwodzie, przebiegającego możliwie przez wszystkie punkty peryferyjne i z krzyżownicy północ-południe — wschód, zachód. Punktem węzłowym będzie plac Marszałka przy ogrodzie Saskim.

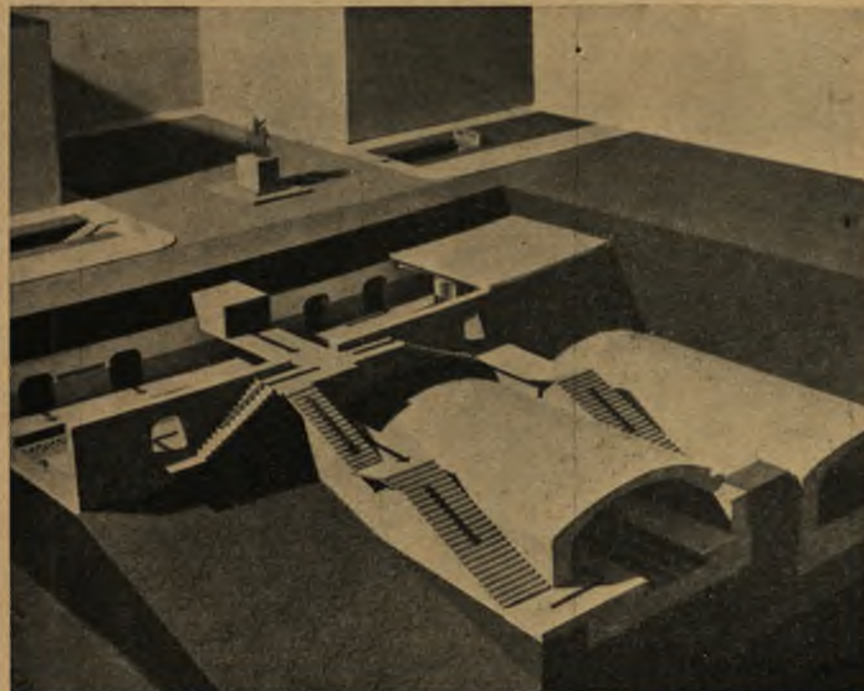
Pozatem wszystkiem jako szlak komunikacyjny wyzyskana zostanie Wisła. Tramwaj wodny Siekierki-Bielany będzie miał dość długą trasę do 16 klm.

Rozwój miasta wymaga rozbudowy sieci wodociągowo - kanalizacyjnej. Na 12.000 ha, które plus-minus miasto obejmuje, ledwie trzecia część jest zaopatrzona w wodę. Sieć wodociągowa liczy 535 klm, gdy potrzebne jest 1.500 klm. W mieście potrzebne są też wodotryski i zdroje, których, niestety, nasza stolica jest zupełnie pozbawiona, nie licząc dwu nieczynnych wodotrysków.

Z kanalizacją nie jest też lepiej. Istnieje ledwie 300 klm, gdy potrzeba 900. Całe dzielnice, jak Saska Kępa, Targówek, Brudno, Pelcowizna, Grochów, Mokotów, Rakowiec nie są zupełnie skanalizowane.

Zasadniczą inowacją w systemie zabudowy Warszawy będzie powiązanie elementów ściśle wielkomiejskich przemysłowo-handlowych z mieszkalnemi. Dotychczas było tak, że przemysł starał się zlokalizować robotnika w pobliżu fabryki, nieraz w najbliższem sąsiedztwie budując domu. Dla fabrykanta to dobre, dla robotnika dymiące kominy ani psychicznie, ani higjenicznie nie są najmilszem sąsiedztwem. Kryzys wojenny i powojenny, zahamowanie ruchu budowlanego doprowadził do zupełnego schaotyzowania sprawy mieszkaniowej. Każdy łapie, zależnie od swych zasobów, pierwsze-lepsze mieszkanie. Stąd bywa, że robotnik musi odbyć nieraz kilkunastokilometrową podróż pieszą, kolejową, tramwajową do miejsca zatrudnienia. Znam skończonego lekarza, który piechotą chodzi z Pelcowizny do szpitala

(Dokończenie na str. 199).



Metro na placu Piłsudskiego





Hel Latarnia

KAZIMIERZ ŚLIWKOWSKI

ORŁOWO

(Na Dzień Morza).

Lat wiele temu było... Wtedy, gdy jeszcze na ziemiach bałtyckiego przymorza, później nazwanych Pomorzem lud żył beztrosko, w wielkim dobrobycie i głębokiej wierze katolickiej.

Niemal całą przestrzeń owego wzgórzystego wybrzeża morskiego między Redłowem a Oliwą porastał stary las sosnowy.

Na skraju tego lasu, tuż nad samem morzem, lecz na najwyższem wzgórzu, rósł o rozłożystych konarach, górując ponad wszystkiemi drzewami, kilkusetletni dąb. Z jego szczytu można było objąć wzrokiem nietylko bezkresną roztocz kolebiących się wód Bałtyku, lecz również i ogromny szmat ziemi pomorskiej.

I nie było śmiałka, któryby odważył się dostać na wyniosłe drzewo, gdyż pośród największej gęstwiny konarów było uwite gniazdo orła białego.

Mówiono, że orzeł ten jest niezwyciężony, bo wspomaga go Juranta — królowa Bałtyku.

Często białopióry orzeł zrywał się z gniazda i — wzniósłszy się — płynął majestatycznie z rozpostartemi skrzydłami wokrąg całej ziemi polskiej, którą nadewszystko miłował. I nie rychło wracał z owej podróży, albowiem podówczas ziemie polskie były rozległe i przestrzenne, więc nie łatwo było je oblecieć.

Wszystkie stworzenia, tak ptactwo, jak i zwierzęta, żyjące w Polsce, zgodnie postanowiły, iżby orzeł biały był ich królem i sędzią. Nawet ludzie, zamieszkujący tę ziemię, oddali się pod opiekę orła białego.

W chwilach trudnych dla Polski co mądrzejsi mężowie kraju odbywali pielgrzymki pod ten wyniosły dąb, aby w obecności orła radzić nad losami swego bogatego państwa, gdyż z mądrych i głębokich oczu ptaka płynęła ku nim dziwna jakaś siła i natchnienie do spełnienia walecznych i sprawiedliwych czynów.

Toteż nic dziwnego, że wkrótce źli sąsiedzi zaczęli nienawidzić Polaków, zazdroszcząc im dobrobytu i bogactwa, a wiedząc skąd płynie ich siła — zaprzysięgli śmierć orłowi białemu.

A każdy z sąsiadów także miał swego ptaka. Jednak były to czarne ptaki z dziwnie rozstrzępionemi skrzydłami. Miały przytem po dwa łby z krogulczemi dziobami. Były one wprawdzie silne, wszelako nie dorównywały mocy orła białego. Również nie były obdarzone temi, co orzeł biały, zaletami szlachetnemi.

Długo czyhali zdradzieccy sąsiedzi na dogodną sposobność, aby orła białego stracić. I często zbierali się na radę pospólną, celem której było opracowanie planu napadu na Polskę.

Aż wreszcie nadeszła upragniona przez nich chwila.

Pewnego razu w nocy zawisły nad całą Polską ciężkie chmury, a od wschodu zerwał się okropny wiatr. Po krótkiej chwili przy grzmotach piorunów i oślepiających błyskawicach rozpętała się straszna burza. Siła wiatru była tak wielka, że drzewa z korzeniami wyrywała i rzucała je w odmęt morski. A i morze również jakieś gniewne było: ryczało, to znów jak szalone wychlustywało na brzeg pianę swej wściekłości.

Wtedy to właśnie, cicho się skradając, podeszli pod dąb zawistni trzej sąsiedzi i wypuścili swoje ptaki, nakazując im, aby wspólnemi siłami rzuciły się na wyczerpanego z sił w walce z żywiołem orła. Nie pomogła waleczna obrona srebrnopiórego bohatera. Zasadzka napastników była tak obmyślona, że szlachetny orzeł — mimo swej siły i waleczności — musiał ulec drapieżnemu naporowi wrogów, zwłaszcza, że nie myśląc o obronie własnej, wystawił swe silne mięśnie na ciosy sępich dziobów, aby osłonić skrzydłami gniazdo swoje. Niemniej atoli usiłował donioslym krzykiem ostrzec o grożącem niebezpieczeństwie wszystkich, którzy się doń garnęli.

A gdy wreszcie zorza poranna jęła przerzedzać mroki nocne, gdy rozszalały żywioł gdzieś zdala od naszej ziemi cichuśko przycupnął, aby nie pokazywać więcej światu swego nieubłaganie groźnego oblicza — złote promienie słońca strzeliście wysunęły się zza gór, zza morza i opromieniły polską ziemię, spustoszoną burzy gniewem.

I — o, zgrozo! — gdy słońce pieściwym wejrzeniem objęło całą polską ziemię i gdy nie ujrzało wśród gąszczu konarów wiekowego dębu gniazda orła białego, zakryło się ciemną chmurą, żeby nie patrzeć na owe miejsce potwornej zbrodni, gdzie jeno garść pokrwawionych piór białych pozostała na połamanych gałęziach.

I długo nie opromieniało słońce tego wybrzeża morskiego. Dopiero, gdy deszcze zmyły krew zadziobanego orła, gdy wreszcie wiatry rozniosły na wszystkie strony świata strzępy srebrnych piór, życiodajne słońce znowu poczęło ogrzewać tę ziemię i koić ją w boleści. Ale ziemia już była inną; na wyjałowiałej z soków ziemicy przymorskiej potworzyły się wydmy piaszczyste.

Smutne więc czasy nastały dla rycerskiego narodu. Nie czując nad sobą opiekuńczych skrzydeł orła białego, popadli w rozpacz i odrętwienia i nie mogli zdobyć tyle

sił, aby zrzucić z siebie jarzmo niewoli, które im nałożyli nikczemni trzej sąsiedzi. Zdawało się, że niema dla Polaków ratunku, że niewoli nie będzie kresu.

Zbierali się Polacy-Kaszubi wieczorami po chatach i wznosili modły do swej Królowej — Matki Boskiej Swarzewskiej, aby uprosiła Syna Swego iżby On uwolnił ziemię przymorską od tyranji zaborcy. Dla ulżenia swej niedoli śpiewali, dawne, a przez najeźdźcę zabronione pieśni polskie, lecz najczęściej śpiewano *):

„Nad roztoczami bałtyckich wód,
„Żyje prastary lechicki lud;
„W walce z żywiołem zaczerpnął sił,
„By mocą ducha niezłomny był.
„Cudowny Bałtyku tęczowych lśnień,
„W twojem osierdziu jest Polski rdzeń;
„Bronić odważnie przepastnych wód
„Będzie mocarny piastowski lud.
„W żyłach Polaków rycerska krew
„I fal Bałtyku tajony zew;
„A gdy uderzy na alarm dzwon,
„Pójdziemy bronić ojczystych stron.
„Cudny Bałtyku tęczowych lśnień i t. d.
„Piękny Bałtyku, klejnocie nasz,
„W nas swych obrońców na wieki masz.
„Polska dziś woła u fal twych stóp
„Składa ci swojej miłości ślub.
„Cudny Bałtyku tęczowych lśnień" i t. d.

Poza pieśniami wspominali szczęśliwe i pełne chwały lata, kiedy mając orła białego za swego przewodnika, szli na wojny, aby bronić wiary katolickiej i granic swej ojczyzny, słysząc nad sobą łopot skrzydeł, strojnego w srebrnopiórą szatę, opiekuna swego.

A zaborcy szczycili się przed wszystkiemi narodami świata swym podstępem i rozgłaszali, że Polska nigdy już nie powstanie z niewoli, gdyż orła białego porwali w strzępy.

I tak wlokły się lata za latami i nikt nie przeczuwał nawet, że wierny dąb, porosły na prastarej ziemi polskiej-kaszubskiej, przechowuje pieczołowicie wielki skarb w swem sercu. Gdy bowiem podczas owej pamiętnej nocy burzliwej, gdy potworne dwułbiste ptaszyska napadły na orła białego i gdy gniazdo się rozpadało, stoczyło się zeń jedno jajeczko i wpadło do dziupli dębu, miękkim mchem porośniętej. A wierne swej matce-ziemi wielowiekowe drzewo okryło je zaraz swemi liśćmi, aby ukryć przed wzrokiem złych ludzi i przechowywało w tajemnicy tak, jak i w sercach wszystkich Polaków przechowywała się gorąca miłość ku swej znękanej Ojczyźnie. I im więcej wróg gnębił ów rycerski naród, im bardziej starał się najeźdźca wyprzeć z serc Polaków wiarę w dzień wyzwolenia, im okrutniej zaciskał ducha narodu w okowy — tem goręcej naród ten miłował swoją rodzicielkę-ziemię, tem bardziej duch jego uodporniał się przeciw ciemięstwu najeźdźcy. Skupili się Polacy, zaniechali wzajemnych waśni i prywaty, jeden dla drugiego stał się dobrym bratem. Nawet zwierz dziki mniej lutym był i zaprzestał napadać na kmiece lub rybackie zagrody, żywiąc się jedynie drobnicą leśną i polną, jak i od czasu do czasu napadniętym przezeń koniem lub żołdakiem zaborczej watahy.

Aż pewnego razu, gdy po wojennej zawierusze Polska odzyskała upragnioną wolność, przyleciał z dalekiej Ameryki zamorski piękny ptak i jął się dopytywać o orła białego, którego podobiznę widział na czapkach „garstki szaleńców", którzy pod wodzą swego Komendanta orężem kreślili granice zmartwychwstającej Ojczyzny. Wskazano mu więc tylko ów dąb sędziwy na wybrzeżu morskiem, zwanem przez Kaszubów Orłowem. Usiadł więc gość-ptak pośród splątanych konarów drzewa i szczerze zapłakał nad losem zadziobanego orła, a wtedy rozrzewniony dąd rozchylił swe gałęzie i ukazał to, co taił w swej dziupli. Wówczas zamorski ptak otulił i ogrzał swemi skrzydłami ukryte jajeczko, a po niejakim czasie wylęgło się z niego młode orlątko o pięknie lśniących srebrnych piórach.

I radośniej się uczyniło w Polsce. Słońce poczęło bardziej ogrzewać tę ziemię, aby młode orlątko mogło w cieple rosnąć, rozwijać się i nabierać tężyzny. I ziemia płodniejszą się stała, i lasy żywszą zielenią się przyozdobiły, i łąki pokryły się barwniejszem kwieciem, i woda w rzekach dźwięczniej popłynęła, i fale Bałtyku weselej zakolebały i cały naród polski ożył.

A gdy młode orlę podrosło, uniosło dumnie głowę, rozglądnęło się wokół, strzepnęło i rozprostowało skrzydełka i — wzniósłszy się wysoko ku podniebnym błękitom — zatoczyło trzykrotnie krąg nad gniazdem, wreszcie górnym lotem okrążywszy całą Polskę, osiadło na piaszczystych wzgórzach Oksywja. I odtąd

Na stokach oksywskich pagórów bezżyznych,
Bokiem opartych o Bałtyku brzeg,
Dla granic obrony swej matki-Ojczyzny
Hufiec Bellony przyczajony legł.
Wsłuchuje się w poszum morskiego pluskotu,
Każdy dźwięk wiatru łowi jego słuch,
Gdy zoczy intruza — gotów jest do lotu,
By wroga odeprzeć, jak mściciel duch.
Na tym wydmuchu, na tej ziemi jałowej,
Na owem pustkowiu, gdzie wiatr szalał i wył,
Dziś dumnie się wznoszą już gmachy wojskowe,
Gdyż na nich swe gniazdo Orzeł Biały zwił.



Polskie Morze

*) Pieśń ta znajduje się w śpiewniku morskim Feliksa Nowodworskiego, Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonjalnej - 1935 r.

GROTY BE—THARRAM



Obok słynnych grot w Antiparos w Grecji i w Adelsburgu czyli Postumcji na pograniczu Jugosławji i Austrji, wywierającemi również wielkie wrażenie, są groty betharramskie. Znajdują się one w odległości kilkunastu kilometrów od Lourdes.

Autocar nasz, pędzący z wielką szybkością, zatrzymał się u podnóża olbrzymiej góry tuż przed małym budyneczkiem, w którym znajdowała się kasa i oczekiwali na gości przewodnicy. Za opłatą dziesięciu franków od osoby mieliśmy ujrzeć dziwy przyrody, tkwiące od wielu stuleci we wnętrzu góry.



Na samym wstępie, po przebyciu mocno chwiejącego się mostku wcale pokaźnej długości, zawieszonego nad przepaścią, znaleźliśmy się w drugim budynku, którego jedną ze ścian stanowiło zbocze góry. Tą drogą wkroczyliśmy do grot betharramskich.

Nawiasem mówiąc wejście niezbyt efektowne i przypominające panoptikum. Ot poprostu otworzyły się drzwi, i przed nami wyrósł nagle kręty korytarz, z jednej strony najeżony wiszącemi stalaktytami, z drugiej zaś okolony żelazną barjerką, chroniącą zwiedzających od upadku w przepaść. (Nr. 1).

Ogarnęło nas ciepłe, wilgotne powietrze. Nogi grzęzły w miękkim,



gliniastym gruncie. Głosy rozlegały się stokrotnem echem.

Po przebyciu korytarza ujrzeliśmy olbrzymi lej skalny, którego poszarpane boki ginęły w fantastycznych skrętach gdzieś na dnie przepaści. Ponad lejem u góry wisiał potwornej wielkości blok skalny. (Nr. 2).

Nieco dalej droga prowadzi przez kilka schodków, obok których wznoszą się dwa potężne filary powstałe skutkiem złączenia się stalaktytów. Nad filarami małe, wydłużone bloki skalne wiszą nakształt frendzli. (Nr. 3).

Olśniewające fantazją bogactwo kształtów, niesłychane podobieństwa do ludzi i zwierząt, uwypuklone umiejętnem rozmieszczeniem reflektorów oszołomiło nas wszystkich. Oto w kącie jednej z grot stalaktyt przybrał postać siedzącego z podwiniętemi nogami Buddy, który zamyślonym wzrokiem spogląda przed siebie. Tuż obok niego blok skalny w kształcie dzwonu zawisł nad uszami. (Nr. 4).



W następnej grocie wyłonił się z ciemności potwornie wielki łeb mamuta przedhistorycznego z podniesioną trąbą. Przed nim zaś dwa stalaktyty splotły się ze sobą, tworząc malowniczą grupę walczących gladjatorów, którym przygląda się ostry profil patrycjusza rzymskiego z wieńcem laurowym na czole.

Wędrówka po korytarzach i grotach trwa przeszło godzinę i mimowoli przychodzi na myśl Dante Alighieri, opisujący miejsca pobytu potępionych dusz. (Nr. 5 i 6). Między zwiedzającymi wytworzył się nastrój dziwnie przykry i przygnębiający. Nastrój ten potęguje się jeszcze podczas przejażdżki łodzią po podziemnej rzece, która wyżłobiła sobie łożysko na głębokości 200 mtr pod ziemią. (Nr. 7). Potężne bloki skalne wisiały nad nami złowrogie i milczące. Pusto, cicho i ciemno. Głosy ludzkie brzmiały jak w studni.





Gdzieniegdzie małe wodospady, wypływające ze skał, z szumem i łoskotem spadały do rzeki. Przewodnik z wysiłkiem przesuwał ręce wzdłuż liny zawieszonej nad wodą i w ten sposób ciągnął łódź, gdyż zbyt wąska przestrzeń nie pozwalała użyć wioseł.



Podróż nasza podobną była zapewne do podróży pośmiertnej po Styksie, w którą wierzyli starożytni Grecy. Spojrzałem odruchowo na przewoźnika. Nie, ten nie jest podobny do legendarnego Chronosa, który grozą swej postaci wzbudzał lęk wśród najodważniejszych i wiódł dusze na zatracenie. Oto kończy się podróż, zaczynają się schody i po niedługiej chwili przewoźnik nasz z poczciwym uśmiechem na spoconej twarzy wyciąga rękę po dwa franki, na które rzetelnie zasłużył.

Al. Junosza-Olszakowski.







JÓZEF LEDIT

POJĘCIE RODZINY W SOWIETACH

(Ciąg dalszy).

Małżeństwo w Sowietach: marzenia a rzeczywistość

A więc na samym początku małżeństwo. Bardzo interesująco przedstawia się stosunek małżeństw rejestrowanych do „małżeństw nierejestrowanych", chociaż jest prawie niemożliwem ująć to w jakąś statystykę. Ilja Ehrenburg w „Jednym tchem", romansie poświęconym młodzieży sowieckiej, daje próbkę, z jaką łatwością w nowej Rosji dochodzi do zawiązania czy też rozwiązania zażyłych poufałości. Bohaterowie powieści Ehrenburga z całą swobodą praktykują wolną miłość, bez jakichkolwiek ceremonij stanu cywilnego. Jeśli dwie osoby płci odmiennej czują do siebie skłonność, rozpoczynają bez wszystkiego wspólne pożycie — jeśli ta miłość chwieje się czy ginie zupełnie, obie strony rozchodzą się bez pretensyj, rozpoczynając próby na nowo. Do takiego ideału dążyły Sowiety w ostatnich latach, i trzeba przyznać, że jest to postęp w stosunku do koncepcji, wzorowanej prawie na życiu zwierzęcem, z niedawnych jeszcze czasów. Rzeczywistość jednak przedstawia się o wiele gorzej. „Prawda" z 25 czerwca 1935 roku, z jaskrawym realizmem opisuje rozmowę jakiegoś ulicznika z siódmą z rzędu, uwiedzioną przez niego dziewczyną za obietnicę małżeństwa, zakończoną takiem cynicznem zdaniem: „Przecież nie mogę się żenić z wami wszystkiemi naraz".

Łatwiej już o ścisłe dane odnośnie do małżeństw rejestrowanych [1]), chociaż, jak mówiliśmy poprzednio, rozwód w Sowietach jest rzeczą nader prostą. Przytaczam w tym względzie wyjątek z „Izwiestyj" z 24 lipca 1935 roku:

„W roku 1934 było w Moskwie małżeństw zarejestrowanych 44.851 na 3.600.000 ludności, czyli mniejwięcej 125 na 10.000. Nie możemy wcale narzekać na małą liczbę związków małżeńskich. W 1934 roku na 100 małżeństw przypada 37 rozwodów. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy 1935 roku, na 100 małżeństw mieliśmy rozwodów 38,5; w maju tegoż roku, nawet 44,3, czyli na 4.381 małżeństw 2.040 rozwodów". „Naturalnie, niema wątpliwości, że w urzędzie stanu cywilnego nie są zanotowane wszystkie małżeństwa i rozwody. My stanowimy jedyny kraj na świecie, uznający małżeństwo faktyczne, a nasze prawo małżeńskie jest wyrazem najwyższego humanitaryzmu, który odrzucił hipokryzję burżujskiej moralności i pęta Kościoła".

Zarejestrowanie rozwodu, czyli zwykłe porzucenie ogniska domowego, wychodzi na korzyść szczególniej mężczyznom. Na wsiach bowiem, jeszcze do tej pory, nie zarzucono zwyczaju dawania posagu. „Młodzież z kołchozów" z września 1935 wspomina o kilkakrotnem zawieraniu małżeństw przez wielu młodych ludzi, którzy od swych narzeczonych otrzymywali po 500, 600, 700 rubli posagu. Po dwóch, trzech lub nawet po miesiącu, więzy się rwały i małżonkowie szukali szczęścia gdzieindziej. Pismo to protestuje, ale nie przeciw porzucaniu młodych kobiet, tylko przeciw przeżytkowi dawania posagów:

[1]) Zawieraniu małżeństwa sowieckiego towarzyszą imponujące wprost ceremonje cywilne. Czytałem kiedyś opis takiej uroczystości, której asystowało 700 lub 800 osób. Nie brakło nawet przemówień, podkreślających ważność dokonywanego aktu, nie brakło czułych słów do nowożeńców, że jest to najbardziej pamiętny dzień w ich życiu. Dziennikarze sowieccy ze szczególniejszem upodobaniem opisują uroczystości weselne — z biesiadami weselnemi, śpiewami i ludowemi tańcami.

„Ostatniej zimy w Nowosielcy zawarto 53 związki małżeńskie. Jako posag zapłacono dziesiątki tysięcy rubli. My komsomolcy powinniśmy się wstydzić wspominać o tych upokarzających dla nas sprawach, bo to zwyczaj dziki, a zarazem ośmieszający godność ludzką młodych członków kołchozów. Wiemy napewno, że w przeważnej części ośrodków wymazano z pamięci samo imię posagu. Dlaczego nasze organizacje pogodziły się z tym spadkiem po obrzydłej przeszłości?"

Obojętnie, czy posag stanowi gotówka, czy obietnica udzielenia mieszkania, bądź też wyrobienie pozwolenia na przeniesienie się do Moskwy, która jest zawsze szczytem marzeń każdego komsomolca — zawieranie związków małżeńskich i rozwody dochodzą do skutku z niebywałą łatwością. W świeżym numerze czasopisma dominikanów z Lille: „Rosja a Chrześcijaństwo", przytacza p. Danzas całe wyjątki z prasy bolszewickiej, potwierdzające nasze wywody. Przed sądami sowieckiemi stają często mężczyźni, którzy żenili się po trzy, cztery lub pięć razy, wreszcie porzucali żony i dzieci, zawierając nowe związki małżeńskie. „Wieczarnaja Moskwa" z 11 grudnia ub. r. podaje fakt aresztowania jakiegoś wyrodka, który żenił się 12 razy, dodając od siebie komentarz „należy jednak przypuszczać, że liczba jego żon była znacznie większa".

Legalizacja poronień

Obecnie, omówiwszy już sprawę sowieckiego małżeństwa, przechodzimy do dzieci. Jestem zmuszony poruszyć tutaj materję bardzo delikatną, a jednak konieczną do wyrobienia sobie pojęcia o strasznej katastrofie, grożącej rodzinie sowieckiej. Mam na myśli poronienia.

Przerwanie ciąży jest w Sowietach dozwolone przez prawo. Każda kobieta może poddać się temu zabiegowi w pierwszych trzech miesiącach od chwili poczęcia.

Powołujemy się tutaj na wywiad, przeprowadzony przez M. Percheron dla „Le Document" z października 1934 r.: „Poruszając już sprawy związane z medycyną nie mogę pominąć tak piekącej kwestji, jak poronienie. Naturalnie, zupełnie słusznie uznano je za legalne. Ze względów socjalnych poddano je jednak różnym ograniczeniom, zmierzającym do wytępienia plagi „fabrykacji aniołków". Skuteczną w tym względzie kontrolę stanowi: zgoda męża, jeśli chodzi o kobietę zamężną, ograniczenie czasu na przeprowadzenie zabiegu najpóźniej do 12 tygodni, opinja odpowiedniej komisji o stanie zdrowia i warunkach społecznych. Prawie zawsze odmawia się pozwolenia na przerwanie ciąży kobietom, rodzącym po raz pierwszy, a nawet poddaje się je pod szczególniejszy nadzór.

Oczywiście otrzymuję wyjaśnienie, że wszystkie te ograniczenia nie są wcale dyktowane współczuciem dla nieszczęsnej ludzkiej istoty, ile raczej względami socjalnemi. Jeśli kobieta nie jest w stanie podjąć się wychowania dzieci, ze względu na stan zdrowia, zbyt wczesny czy podeszły wiek, państwo przejmuje cały ciężar na siebie.

Legalizacja poronień — objaśnia mój informator — to mniejsze obciążenie budżetu, a dla społeczeństwa mniejsza strata, niż opuszczone i porzucone dziecko... Naturalnie, zdarzają się nadużycia, ale stanowią one znikomy procent w porównaniu z liczbą kobiet, które

myśmy ocalili od zupełnego kalectwa. Pan, nie będąc Rosjaninem, nie zdaje sobie sprawy z tej haniebnej plagi, ciążącej na starej Rosji, jaką było porzucanie niemowląt i zatrważająca śmiertelność przy pokątnie przeprowadzanych poronieniach.

A... jak się przedstawia ilość tych zabiegów w cyfrach?

W Moskwie, 100.000 rocznie. Właśnie w miastach musimy w szczególniejszy sposób bronić kobiety przed matroną. Spodziewamy się jednak, że uświadamianie antykoncepcyjne samo przez się ograniczy liczbę urodzin, i że sztuczne poronienia, które wy uważacie za zbrodnię, zanikną zupełnie. Naszym pierwszym obowiązkiem to troska o państwo, uznaliśmy więc za prawny taki środek, który najlepiej odpowiada mentalności ludu".

Nie mam wcale zamiaru komentować wyżej cytowanych wywodów lekarzy bolszewickich. Informacje udzielone p. M. Percheron, aczkolwiek nacechowane grubym cynizmem, stoją w sprzeczności z tem, co podaje prasa bolszewicka. Przytaczam „Prawdę" z 11 sierpnia 1935 — artykuł zatytułowany: „Nieznani ojcowie": „W maju tego roku, z fabryki Dedowskoj, zgłosiło się do szpitala 150 brzemiennych robotnic. Z tych 30 zgodziło się zostać matkami, 120 prosiło o dokonanie zabiegu.

Dużo z tych ostatnich robotnic było brzemiennych po raz pierwszy. Sami lekarze, a także towarzysze fabryczni usiłowali wybić im to z głowy. Pokazywano im roześmiane, małe istotki ludzkie, bawiące się w żłobkach, obiecano pomoc — nic nie pomogło — żądały przeprowadzenia zabiegu".

A więc inaczej wygląda rzeczywistość, niż opowiadał nam w swojem sprawozdaniu M. Percheron. Stan jest zastraszający. Przez cały rok 1935 roiło się od artykułów w dziennikach sowieckich, starających się wpoić w obywateli Z. S. S. R. miłość i szacunek do macierzyństwa. Nadzwyczaj charakterystycznym pod tym względem jest artykuł, zamieszczony w „Prawdzie" (21 czerwca 1935), pod tytułem „Słowo matki". Autorka opowiada, jak wychowała w dobrem zdrowiu pięcioro dzieci, a wreszcie dodaje:

„Mam starszą córkę, już od roku zamężną. Cieszy się czerstwem zdrowiem, jest przystojna, w tym miesiącu kończy 21 lat. Niedawno dowiedziała się, że zaszła w ciążę. Ileż z tego powodu popłynęło łez: „Ja nie chcę, ja nie chcę! Ja chcę jeszcze studjować... Ja jeszcze nie wiem co znaczy żyć". Poczęści jest to prawda... Ostatnie słowo należy do męża — w tej chwili jest on nieobecny, wyjechał na trzy tygodnie. Ale czy zechce on stanąć po stronie praw do życia swego dziecka? czy zechce być ojcem: A może przelęknie się, że dziecko wniesie w jego życie za dużo krzyku, nieporządku, „pieluszek"? Oto co mnie zasmuca i przejmuje obawą".

Dwa rodzaje kobiet — czytamy dalej w wspomnianym wyżej artykule — poddają się temu zabiegowi — ubogie i

„nasze dąmy dobrze wykarmione i zaopatrzone we wszystko, a nieukrywające swej pogardy dla kobiet tego pokroju co ja, matek licznych rodzin (pięcioro dzieci). Powtarzają stale: jak można mieć tyle dzieci — to zbrodnia".

Zdarza się nieraz, że mąż niema wcale zamiaru obarczać się dzieckiem. Kobieta zaś, chociażby chciała zostać matką, co się zresztą rzadko zdarza, musi go słuchać. Dochodzi więc do tego, że kobiety sowieckie poddają się zabiegom przerwania ciąży po trzy razy w ciągu półtora roku... („Prawda" 18 lipca 1935).

Na kongresie, w Londynie 7 i 8 grudnia 1935, mającym na celu uregulowanie stosunków pokojowych między Z. S. S. R. a Anglją, dr. Edith Summerskill w swem przemówieniu użył następujących słów: „W Rosji są kliniki bądź antykoncepcyjne bądź też specjalne, gdzie dokonuje się zabiegów przerywania ciąży. Panuje tam przekonanie, że nigdy nie nastąpi prawdziwa równość między płciami, dopóki będzie zmuszało się do wydawania na świat tych dzieci, których rodzice sobie nie życzą. W ostatnim roku, pewien lekarz sam jeden dokonał 12.000 poronień, a w tem zdarzył się tylko jeden wypadek śmierci".

Jeden lekarz dokonał w ciągu roku 12.000 poronień! Nic dziwnego, że taki stan poczyna budzić w Sowietach zaniepokojenie. Prawda, że liczba urodzin jest jeszcze w Sowietach dość wysoka. I słusznie zauważa Aleksander Marc w swem studjum o rodzinie sowieckiej, że „pomimo wojny, rewolucji, nędzy, wojny cywilnej, teroru, wszelkiego rodzaju występków, ludność sowiecka stale wzrasta. Według Mołotowa, liczyła Rosja 1913 roku 139 miljonów mieszkańców (naturalnie, w obecnych granicach), w 1918 r. 142 miljony, w 1928 roku 152 miljony, w 1934 r. 168 miljonów. A więc przyrost ludności w Z. S. S. R. wyraża się w trzech miljonach rocznie..." (Dossiers de l'Action Populaire, 10 styczeń 1936, str. 13).

Liczby te, przytoczone przez Mołotowa (w sprawozdaniu na VII kongresie Sowietów), odnoszą się do 1 stycznia 1934 roku. Obecnie jednak zbliżamy się powoli do czasu, w którym dochodzi do dojrzałości młodzież sowiecka, wychowana przez rewolucję. „Do tej pory niema jeszcze statystyki oficjalnej, ale nie ulega prawie wątpliwości, że liczba urodzin spadła w ostatnim roku z 3 i pół na 2 i pół miljona".

Takich informacyj udzielił mi pewien poważny obywatel, przybyły świeżo z Rosji. Oczywiście, liczby te trzeba przyjmować zawsze z pewnem zastrzeżeniem, niemniej jednak zasługują one na uwagę. Ten gwałtowny spadek urodzin może pochodzić z dwóch źródeł: dojście do dojrzałości sowieckiej młodzieży i kolektywizacja wsi.

Nie łudźmy się, że do przeprowadzenia zabiegów poronień wystarczą kliniki państwowe — prasa sowiecka stale informuje o wykryciu klinik nielegalnych; prowadzą je akuszerki, które nieraz powodują kalectwa lub śmierć swoich pacjentek, lub lekarz — a wszyscy uprawiają swój proceder potajemnie, i naturalnie nie bez wynagrodzenia, jak to bywa w klinikach państwowych. W listopadzie 1935 roku zaaresztowano pewnego lekarza, który z 62 pacjentek ściągnął 11.000 rubli. (D. n).

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

JAK BAJKA... JAK POWIEŚĆ... JAK PRAWDA.

Młodzieńczym poszumem wiosny powiało po lesie. Słońce w leciuchnem obramieniu chmur deszczowych sunie nad wierzchołkami drzew, ścieląc cienie przelotne na różnobarwnych kobiercach kwiatów. Las i świat pełen niezwykłej krasy życia. Rozśpiewane chóry ptasząt rozgłaszają jego chwałę dalekim niebiosom. Lustrzane wody jezior zatrzymują w swej toni powtórzone piękno ziemi i nieskończoność niebios.

Już blisko pół wieku patrzę z podziwem na zbudzone wiosną życie. Patrzę i widzę, że w różnych czasach inaczej odzwierciedlało się w mej duszy.

Najpierw w latach dziecinnych rozwijało się dla naiwnych ocząt malca, jak bajka czarowna. Uwaga dziecka zatrzymuje się tylko na powierzchni życia. Małe oczy, ciekawe, widzą tylko ruch, barwy, nasycają się dźwiękami i wonią. Wewnętrzny ład natury, nic ich nie obchodzi. Może kwiat lilji kwitnąć na łodydze ostu, tron króla krasnoludków może być ustawony na zrąbanym pniu sosny, może woda spalać, ogień zatapiać — dla dziecka to wszystko jedno. Jak w bajce...

Zawitały lata młodzieńcze i młode oczy popatrzyły na życie. Snuło się jeszcze ciekawsze, choć już obrane z czaru naiwności. Zniknęła bajka, zjawiła się powieść. Oczy i dusza młoda widzą już głębiej, ale nie za głęboko. Z bujnego tekstu zjawiska odczytują wątek, ale tylko w bardzo niejasnym, niewyraźnym zarysie. Zgrubsza chwytają sens życia, ale najgłębszej jego budowy nie widzą, nie pojmują.

Płynne są tu wciąż jeszcze możliwości życiowe. Ręka młoda nie dotknęła każdej sprawy konkretnie — to trud i rola starszych. Wkładają coprawda młodzi trochę realizmu w rozumienie życia, ale daleko więcej posługują się marzeniem. Dla nich życie jest, jak powieść. Kilkanaście procent prawdy, reszta — wymysł pisarza.

Nareszcie przychodzą do głosu lata dojrzałe. Człowiek, nauczony doświadczeniem, niekiedy bardzo bolesnem, patrzy na życie trzeźwemi oczyma. Stara się je widzieć takiem, jakiem ono jest — w świetle prawdy. Pod miarą, liczbą i wagą...

Jak na życie tej ziemi, tak patrzą ludzie i na wiarę... Jawi się ona ich oczom, jak bajka, jak powieść, jak prawda.

Jak bajka...

Patrzą na nią w niemowlęcem stadjum swego serca, swego ducha. Nic nie widzą realnego, wszystko zdaje się im zmyślone, sztucznie poukładane w artystyczne obrazki, dobre w sam raz dla dziecięcych oczu, dziecięcych umysłów. Dziecięcych i kobiecych, bo dusza kobiety, zwłaszcza słabo kulturalnej, odbiega tak niedaleko od duszy dziecka...

I Bóg, zasiadając na wyniosłym majestacie swego tronu w chmurach zorzanych, pośród gwiazd... I aniołowie w złotolitych szatach, dzierżący klucze niebios i otchłani... I wojska świętych z palmami zwycięstwa w dłoni, z pieśnią: święty, święty, święty — na ustach... I maleńki Jezus w ramionach swej Matki w żłobku, w Nazarecie, potem jako chłopię, posłuszne cieśli, zapracowane w jego warsztacie, następnie jako prorok swego ludu, w wirze walki, w hańbie męki, w chwale zmartwychwstania. I piekło, pełne szatanów, i czyściec, pełen ognia, płaczu, bólów, lecz i niebiańskich nadziei, i raj nieskończonego szczęścia w domu Boga na wieki...

Zaprawdę, takie to wszystko, jak bajka cudowna, gdy je zwłaszcza podmaluje fantazja. Pamiętam najwyraźniej, że bajką śliczną, w miarę straszną, była dla mej duszy wiara...

Wyrosłem z tych lat naiwności. Patrzyłem na wszystko, i na wiarę także, oczyma młodzieńca. Nie mogłem nie widzieć, że w dziedzinie głoszonych przez nią prawd, opowiadanych o życiu Chrystusa zdarzeń, władcze berło nad duszą człowieka obejmuje historja. Nie z pióra pisarza wyssane bajeczne dzieje podaje, lecz dzieje na rzeczywistości oparte. Przed rzeczywistością dziejową pochylić się musi każde czoło, każda rzetelna dusza. Nikt się nie odważy przecież wykreślić Chrobrego z dziejów Polski, zaprzeczyć królowej Jadwidze tytułu do chwały, obrzucić błotem Jasnej Góry. Mógłby to uczynić tylko nieuk, albo człowiek podły. Podobnież nie można wykreślić Jezusa Chrystusa i powołanego przezeń do bytu Kościoła z kart historji, z dziejów świata...

Wierzyłem, ale pamiętam doskonale, że wyobraźnia młodzieńcza i myśl nieustalona, młoda, osnuwała tę prawdę dziejową złotemi obłokami swoich marzeń. Wiara była dla mnie poczęści prawdą, ale była też w wielkiej części młodocianem marzeniem... Snuła się dla duszy, jak powieść...

Aż zawitały lata dojrzałe, lata męskie, zmagania życiowe, trud, ból i zwycięstwo w walce. Zranione serce znalazło w Ukrzyżowanym, zranionym, nie powieść tylko, lecz prawdę... Prawdę żywą, która garnie duszę, jak przyciąganie kosmiczne garnie ziemię i gwiazdy... Prawdę, przed którą pochyla się czoło, zgina się kolano, korzy się cała istota człowiecza i drży, jak listek w bliskości burzy, lub pożaru. Ale też i raduje się weselem nieskończonem, jak choćby chwila szczęścia, którą przeżyłem na wieść, że Polska wstaje Wolna. Naród wielki, mirjady duchów, wkraczają znów na szlaki wielkie swoich dziejów...

Wiara stała się dla mnie prawdą. Tak bliską, prostą i zrozumiałą, jak prawda, że woda zatapia, ogień pali, napój orzeźwia, a pokarm pokrzepia...

Młodzieńczym poszumem wiosny powiało po lesie, po świecie. Zdaje mi się, że niewiele tylko dusz osiąga to męskie wejrzenie na życie i wiarę, jak na rzeczywistość i prawdę. W odniesieniu szczególniej do wiary. Patrzą, jak na bajkę, i jak bajkę lekceważą, zaniedbują. Może być, może nie być... Albo patrzą, jak na powieść i naginają jej prawdę do swoich marzeń, swych fantazyj i upodobań namiętnych...

A tymczasem i ziemia i niebo muszą być ujrzane, jak prawda... *Jan Czar.*

Dr. med. KAZIMIERZ POŁTOWICZ

ZAPALENIE WYROSTKA ROBACZKOWEGO

Ligo de spinis rosam, de terra aurum, de concha margaritam.
(Św. Hieronim).

Życie jest stałą wymianą materji pomiędzy istotą żyjącą a światem zewnętrznym. Dzięki temu tak zw. metabolizmowi utrzymuje się równowaga budżetowa w gospodarstwie ustrojowem. Wprawdzie jest to tylko jedno ze zjawisk w misternym splocie procesów biologicznych. Tem niemniej przyznać należy, iż jest to sprawa kapitalnej wagi.

Bezustannie w ciele naszem umierają to całe komórki, owe subtelne cegiełki, z których składa się skomplikowany całokształt budowy żywych istot, to znów tylko małe cząstki komórek aż do molekuł włącznie, a na miejsce utraconych mikroskopijnych tworów z materjałów dostarczanych przez pokarmy, t. j. powietrze, wodę, białko, tłuszcze, węglowodany i sole rodzą się nowe komórki, względnie zalepiają się powstałe w nich szpary.

Substancje pokarmowe przyjmują, przerabiają i wchłaniają na dobro całego organizmu narządy trawienia. W tym celu przewód pokarmowy obdarzony jest podwójną funkcją, której odpowiadają skoordynowane wysiłki dwóch warsztatów pracy organicznej. Mamy więc w naszem ciele mechanizm, wprawiający w ruch postępowy rozdrobioną w ustach i ukształtowaną w postaci kulki papkę pokarmową. To jest jeden warsztat pracy, a drugi obrabia chemicznie pomieniony półfabrykat.

Dla przesuwania substancji pokarmowej przewód trawienny, składający się z rurek o rozmaitej średnicy i worków w rodzaju żołądka, posiada mięśnie gładkie, założone w ścianach pomienionych części przewodu trawiennego. Mięśnie te pracują planowo i niezależnie od naszej woli, przesuwają one z góry na dół z nierównomierną chyżością papkę pokarmową.

Ruch poszczególnych odcinków narządu trawiennego nazywamy perystaltyką, lub po polsku ruchem robaczkowym, spowodu analogji jego z pełzaniem robaków, które mają identyczny układ mięśniowy.

Owa perystaltyka ma donośne znaczenie dla dalszych rozważań naszych w zagadnieniu schorzeń wyrostka robaczkowego.

Rozdrobiona miazga pokarmowa, zwana papką, już w ustach ulega działaniu chemicznemu ze strony zaczynów (fermentów) zawartych w ślinie. Z ust przechodzi do gardzieli, a następnie do przełyku, który w kilka sekund przepycha ją do żołądka.

Przewód pokarmowy dłuższy jest mniejwięcej 15 razy, niźli odległość pomiędzy jego krańcowemi punktami, a to dzięki kołowaniu jelita cienkiego, którego długość po wyprostowaniu wynosiłaby około 8 metrów.

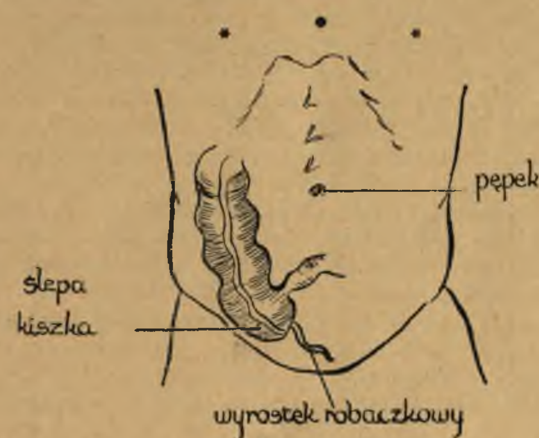
W żołądku odbywa się drugi akt trawienia (pierwszy, jak nadmieniliśmy, ma miejsce w ustach). Sok żołądkowy, złożony z pepsyny, kwasu solnego i zaczynu podpuszkowego, przekształca białko nierozpuszczalne, (mięso, ser, jaja) w rozpuszczalne, więc przydatne do wchłaniania (tak zw. peptony). Trawienie żołądkowe trwa od jednej do pięciu godzin, rzadko dłużej, zależnie od rodzaju pokarmów i od stanu zdrowia osobnika.

Następnie sprecyzowane i dość energiczne ruchy żołądka przesuwają pokarmy do dwunastnicy, gdzie żółć oraz zaczyny trzustkowe odbywają proces trawienia w dalszym ciągu. Za dwunastnicą idą jelita cienkie, czyli czcze, i jelita grube. Dzięki ruchom robaczkowym jelit, lawina strawy przesuwa się przez liczne zygzaki jelita czczego, w którem akcja trawienia likwiduje się prawie ostatecznie, a poczęści odbywa się i wchłanianie pokarmów. To ostatnie jest przyswajaniem przez organizm materjału odnowienia tkanek.

Końcowe wchłanianie pożywnych resztek pokarmów i pozbycie się nieużytecznych pozostałości należy do zadań kiszki grubej, zwanej okrężnicą z uwagi na to, iż otacza ona półkolem zwoje jelit cienkich.

Otóż przejście jelita czczego do grubego zaiste największej naszej uwagi jest godne.

Oba te narządy łączą się pod kątem niemal prostym i w punkcie zespolenia ich, mieści się zastawka Bauhina, która zapobiega powrotowi miazgi pokarmowej z kiszek grubych do cienkich.



Kątnica i wyrostek robaczkowy

W dolnej części jelita grubego znajduje się rodzaj worka niewielkiej głębokości tak zw. kiszka ślepa, do której dołączony jest zwisający wdół wyrostek robaczkowy, przyczyna i umiejscowienie częstych przewlekłych lub ostrych zapaleń.

Wyrostek ten długości od 5 do 12 cm, jest wewnątrz próżny, przyczem próżnia o średnicy około ½ cm. łączy się otworem ze ślepą kiszką.

Jakże ustrzec się zapaleń tego wyrostka, zapaleń, tak rozpowszechnionych w ostatnich czasach? Zresztą i dawniej cierpienie to nie było obce ludzkości, jedynie rozpoznanie roli tego małego narządu należy do świeżych zdobyczy nauki.

Ażeby uchronić się od tej ciężkiej choroby, należy przedewszystkiem poznać przyczyny i genezę zapalenia wyrostka, które to zapalenie określa się łacińskim terminem appendicitis.

W zespole szkodliwości wybitne miejsce zajmuje nieprawidłowe zasilanie ustroju w materjały odżywcze i związane z tem gnuśne funkcjonowanie przewodu pokarmowego — zmniejszona perystaltyka, zaleganie nieprzetrawionych całkowicie mas w kiszkach, zaparcia nawykowe.

Nie ulega wątpliwości, że rodzaj pokarmów odegrywa tu czołową rolę. O ile taki pokarm nie pobudza ruchu robaczkowego kiszek, to treść jelitowa przesuwać się będzie bardzo leniwie i może się zatrzymać w odpo-

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI 9

DWAJ BRACIA

Nagle myśl pewna przemknęła jej przez mózg. Zastanawiał się uważnie przez chwilę, poczem, gdy łódka przybiła do brzegu i Lucjan zajęty był umocowaniem jej do palika, wysiadła i rzekła:

— Panie Lucjanie! Dwukrotnie pan mnie zapewniał, że jest uczciwym człowiekiem. Proszę mi zatem powiedzieć prawdę: gdybym była biedną dziewczyną, czy również podobałabym się panu?

Lucjan wyprostował się i milczał. Tej prawdy nie mógł jej powiedzieć. Powinna zresztą domyślać się tego oddawna. Chodziło mu przecież o zdobycie stanowiska w świecie, o możność egzystencji, o świat otwarty.

Dziewczyna czekała przez chwilę na odpowiedź. Usta jej drżały.

Lucjan stał, wbiwszy wzrok w ziemię.

Wreszcie panna Zofja zrozumiała. Wolnym krokiem zwróciła się ku domowi.

Lucjan spoglądał na nią, gryząc wargi. Zły był na siebie. Przegrał sprawę. Przegrał przez zbytnią szczerość. A może?...

Pobiegł kilka kroków naprzód.

— Panno Zosiu!

Odwróciła się, patrząc nań z pogardą i bezmiernym bólem.

— Niech pan się nigdy do mnie nie zbliża! — rzekła rwącym się głosem. — Jest mi pan wstrętny! Żegnam pana!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Tego dnia wieczorem Lucjan oznajmił Antoniemu, że wyjeżdża. Ponieważ ostatni pociąg odszedł już do Warszawy, przeto obaj bracia postanowili, że wyjazd nastąpi nazajutrz rano.

Antoni przyjął postanowienie Lucjana poniekąd z radością. Sądził, że brat jego porzucił niedorzeczne i niegodne projekty ożenku dla karjery i wrócił do studjów. Wczesną jesienią miały się właśnie odbyć egzamina i Antoni mniemał, że Lucjan chce się do nich przygotować. Każde zaniedbanie przecież można wyrównać.

Tymczasem Lucjan był blady i małomówny. Chwilami odnosił się do brata z niezwykłą serdecznością, to znów wpadał w apatję.

---

wiedniem miejscu, a najbardziej do tego podatnem miejscem jest ślepa kiszka, która nakształt ślepej ulicy otwiera się tylko w jedną stronę, do góry, do grubego jelita wstępującego.

Mięso nie należy do potraw, sprzyjających ruchowi robaczkowemu kiszek, zwłaszcza źle przeżute, bo o ile organizm nie uwolni się gwałtowną biegunką od tych drażniących resztek, to zwykle następuje zaparcie stolca.

Szkodliwy wpływ nadużywania mięsa nie podlega wątpliwości. Narody północy, a w tej liczbie i północni Słowianie, oraz Anglicy, obficie żywiący się mięsem, okazują szczególną skłonność do zapaleń wyrostka robaczkowego. Natomiast wojska francuskie w Algierze, zarówno jak muzułmanie, murzyni, którzy się zadawalniają przeważnie pokarmami roślinnemi, bardzo rzadko ulegają zapaleniom ślepej kiszki czy też otaczającej ją tkanki łącznej lub wyrostka robaczkowego.

Czy wobec powyższych faktów należy zupełnie wyrzec się mięsa?

Jakkolwiek na to konto zdania badaczy są sprzeczne ze sobą, to jednak nie ulega wątpliwości, że większość ludzi zamożnych nadużywa ze szkodą dla zdrowia pokarmów mięsnych i wogóle substancyj białkowych (ser, jaja etc).

Drugim czynnikiem, powodującym zamulenie i zastój w kiszkach, jest ciasto, zwłaszcza w postaci nie pieczonych wyrobów, lecz potraw gotowanych (makaron, kluski, łazanki i t. p.). Chociaż nie należy zupełnie rezygnować z tych pokarmów, jednak umiar tu jest konieczny.

Obfite korzystanie z ruchu — rozmaite postacie sportu, praca fizyczna, przechadzki i t. d. w znacznej mierze kompensują następstwa nieracjonalnego régime'u. Ale ruch nie dla wszystkich jest dostępny. Wieluż to ludzi spędza większą część życia siedząc przy biurku lub stojąc za ladą?

Jak widzimy, racjonalne odżywianie z przewagą jarzyn, owoców, sałaty, tego wszystkiego, co wymiata, oczyszcza kanał kiszkowy jest przeważnie w naszej mocy.

Również jesteśmy w stanie unikać wprowadzania do dróg pokarmowych ciał obcych, jakiemi są: ziarna owoców i jagód, glazura z rondli i t. p. Albowiem często służą one ośrodkiem wokoło którego tworzą się kamienie kiszkowe. Te ostatnie. wgłębiając się do wyrostka robaczkowego, powodują jego zgorzel przez ucisk na odżywiające go tętnicę; a więc przedziurawienie jego ściany, następstwem którego bywa ostre zapalenie otrzewnej.

Raptowny i niespodziewany ból w prawej dolnej części brzucha, czyli w tak zw. prawym talerzu biodrowym, któremu często towarzyszy napięcie odpowiedniej okolicy ściany brzusznej, a czasami wymioty i biegunka lub zaparcie stolca, przy podniesionej temperaturze ciała i przyśpieszonem tętnie — objawy te charakterystyczne są dla zapalenia wyrostka robaczkowego.

Leczyć tej choroby w domu nie można, ale należy natychmiast udać się do lekarza; jeżeli możliwy jest wybór, to do chirurga-operatora.

Wszystko, co bezwarunkowo koniecznem jest do jego przybycia, redukuje się do absolutnego spokoju chorego w łóżku i do powstrzymania się od wszelkich pokarmów. Bardzo niebezpiecznem jest stosowanie bez lekarskiego badania środków przeczyszczających, chociażby tak łagodnych, jak olej rycynowy.

Operacja niezawsze jest konieczną, ale o ile lekarz znajdzie ją niezbędną, to operuje sam (w pierwszych dwuch dniach schorzenia, bo im dalej od początku choroby, tem gorsze rokowanie) lub odsyła do specjalisty; gdzie jest to możliwem, to do szpitala. Wówczas lekarz może w pełni przekonania i swego zawodowego sumienia powtórzyć słowa Ambrożego Peré *): „je le pansais, Dieu le guérit" — ja mu opatrywałem ranę, Bóg go uzdrowił.

*) Ambroise Paré (1517—1590) — znakomity chirurg francuski, zapoczątkował nowe i zbawienne rękoczyny.

Nadeszła noc. Obaj bracia długi czas nie mogli zasnąć. Przewracali się z boku na bok, zamieniali między sobą krótkie zdania i bezsennemi oczyma wodzili po ścianach, czekając daremnie na upragniony sen.

Ciemność nocy bladła z każdą chwilą. Jakieś dziwne światło czerwone wdzierało się do okien. Światło to stawało się coraz jaskrawsze i silniejsze.

Lucjan przyglądał się temu obojętnie, cały pogrążony w myślach o swoim losie. Co teraz robić? Do nauki nie miał ochoty, brata oszukiwać dalej nie chciał. A zresztą i jemu pensję obcięli i poprostu nie było z czego brać.

Wtem rozmyślania jego przerwane zostały pełnym grozy okrzykiem Antoniego:

— Święty Boże! Pali się!

Lucjan jednym skokiem był przy oknie.

Kościół płonął. Zdaleka dochodziły splątane okrzyki ludzi i przygłuszony jęk dzwonów.

Obaj bracia, spojrzawszy na siebie w milczeniu, ubrali się pośpiesznie i wybiegli na ulicę.

Rozdział VI.

Na rynku hejnałowskim falowało mrowie ludzkie, oświetlone krwawym blaskiem płomieni, wydobywających się z kościoła. Z przeraźliwem dzwonieniem nadjechała wielkim pędem straż ogniowa i ośmiu ludzi gorączkowo zabrało się do ustawiania jedynej w mieście sikawki. Tymczasem inni przy pomocy policjantów utworzyli długie szeregi podawaczy wiader. Na dachach sąsiednich budynków stali już ludzie gotowi do polewania wodą zagrożonych miejsc. Niebezpieczeństwo było wielkie. Zerwał się wiatr, potęgując pożar świątyni i roznosząc miljony iskier w powietrzu.

Bracia rozłączyli się. Antoni zginął gdzieś w tłumie, Lucjan bezwolnie stanął w szeregu, porywając wiadro z wodą.

Rozpoczęła się nieubłagana walka ludzi z rozszalałym żywiołem. Pracowano w milczeniu. Czasem ktoś stęknął lub krzyknął gniewnie. W przyległych do rynku ulicach rozległ się cichy płacz kobiet i umilkł.

Jęk dzwonów żałosną skargą bił w niebo i zamierał w oddali. Wiatr zrywał tumany kurzu, targał gałęziami drzew i dzwonił szyldami sklepików. Lament obudzonych i przerażonych dzieci giną w poszumie wiatru i jęku dzwonów.

Lucjanowi ręce mdlały od ciężaru wiader napełnionych wodą, które w szybkim tempie posuwały się wzdłuż łańcucha rąk ludzkich, poruszających się niezdarnie i trwożliwie. Ludzie zapatrzeni byli w szalejący przed nimi pożar i przygnębieni majestatem i potęgą ognia. Niejeden z ratujących myślał przerwać łańcuch i polecieć do domu, aby graty wynieść na pole, bo zdawało się, że dla miasteczka wybiła ostatnia godzina. Trudno było uwierzyć, aby sąsiednie budynki, stojące przy kościele, nie uległy pożarowi. A ponieważ w Hejnałowie wszystkie domy dotykały się wzajemnie, przeto obawy bardziej trwożliwych nie były pozbawione słuszności.

Tymczasem miejska straż ogniowa Hejnałowa w liczbie ośmiu ludzi i jednej sikawki borykała się ciężko z przerastającym jej siły żywiołem. Wąziutki strumień wody z parcianego pasa skierowano w okna kościoła, które, pozbawione witraży, zionęły językami ognia i kłębami czarnego dymu. Paliło się właśnie rusztowanie malarskie wewnątrz kościoła i suche deski oraz słupy płonęły jak pochodnie.

Ksiądz proboszcz, przejęty zgrozą i rozpaczą, stał naprzeciw głównych wrót kościelnych, kierując obroną i ustawiając nadbiegających wciąż mieszkańców Hejnałowa bądź przy pompie, luzując w ten sposób zmęczonych strażaków, bądź tworząc nowe łańcuchy rąk podających wiadra innym, którzy polewali dachy sąsiednich domostw. Wtem jakaś myśl przemknęła mu przez mózg. Krzyknął, ruszył naprzód i stanął bezradnie przed ścianą ognia, która wyrosła przed nim we wrotach kościelnych. Dojrzał to Antoni Reszka i przybiegł księdzu z pomocą, pytając się o co chodzi.

— Nie uratujemy już kościoła! — wykrzyknął z boleścią zacny kapłan — a przecież tam monstrancja została i szczerozłoty kielich z Komunją świętą! Boże miłosierny! Te przedmioty chciałbym uratować!

— Księże proboszczu! Ja pójdę! — odparł Antoni z błyskiem w oczach.

— Zginiesz! Patrz jak ogień szaleje!

— Dam sobie radę! Przemknę bokiem i szybko powrócę! Niechaj ksiądz proboszcz rozkaże, aby strażacy ogień stłumili we wrotach!

Ksiądz Górski okrzykiem wezwał strażaków do siebie i polecił strumień wody skierować ku wejściu do kościoła. Buchnęły kłęby czarnego dymu i dał się słyszeć syk straszliwy. Po pewnym czasie dym przerzedził się nieco, ogień odsunął się w głąb. Śladem wody utworzyło się przejście wolne, prowadzące prawie pod sam ołtarz, który zaczynał się palić.

Każda minuta zwłoki była niepowetowaną stratą. Zrozumiał to Antoni Reszka i wypadł z tłumu ratowników, kierując się ku wrotom kościelnym. Za chwilę postać jego oświetlona została złowrogim ogniem, który pełzał wzdłuż ścian, czepiał się filarów i lizał chciwie ławki, stojące po bokach. (D. c. n.)

Dok. art. Warszawa przyszłości

na Wolę. Ładne ma zarobki i piękne są stosunki mieszkaniowe, jeśli nie sposób zdobyć bliżej miejsca zatrudnienia lokalu mieszkalnego.

Temu ma zaradzić nowy system.

Dzielnice mieszkalne pojęte zostały jako ośrodki pod pewnemi względami samowystarczalne, umieszczone równolegle do pasa przemysłowego, który będzie w Warszawie miał trzy centra: Wolę (przemysł niezadymiający), Grochów i Żerań (ciężki przemysł). Przestrzeń między dzielnicami powinna mieć charakter wiejski, rolny lub parkowy, tak żeby krótki spacer stanowił prawdziwe wytchnienie dla nerwów i płuc.

Jak widzimy, przyszłych obywateli stolicy czeka naprawdę jaśniejsza przyszłość. Będą mieszkać w przyjemniejszem otoczeniu, będą chodzić do pracy drogą, stanowiącą miłą pauzę między domem i warsztatem, będą mogli łatwo dostać się do centrum najrozmaitszemi środkami szybkiej komunikacji. W City poruszać się będą po ulicach szeroko roplanowanych, architektonicznie wykończonych, wśród gmachów i drapaczy, których sylwetki będą tworzyć linję mocnych akcentów na wysokim brzegu Wisły. Oglądać będą wystawy wspaniałych magazynów, przystawać przed pomnikami, z których najwspanialszy, pomnik Marszałka, napewno na długo przykuje ich uwagę.

Słowem będą się cieszyć pięknem stolicy przyszłości. Czy nie warto pójść na tę wystawę, by na chwilę przeżyć tę rozkoszną iluzję, która dla naszych dzieci będzie już rzeczywistością?

JAN MARCIŃCZYK major W. P.

PO SWOJĄ ZIEMIĘ

„Wiedziałem, że będzie ładnie, może bardzo ładnie, ale nie przypuszczałem, że będzie — cudownie!"
Korespondent paryskiego „Exselsior'a".

W Sosnowcu i Będzinie przez cały dzień 18 czerwca 1922 r. panował ruch i ożywienie. Komendant dworca sosnowieckiego — dowódca 1 kompanji XI Baonu Kolejowego, jeden z bojowników sprawy śląskiej, kpt. Stelmachowski — wita coraz to nowych gości. Świetna kompanja jego długo szykowała się do wejścia na Górny Śląsk, aż tu naraz rozkaz strzeżenia dworca w dniu uroczystym.

Generalny Inspektor Gen. E. Rydz-Śmigły w Katowicach



Posmutnieli chłopcy, ale, jako karni żołnierze, bez szemrania pełnili swą służbę — wzorowo. Rano 19 czerwca dworzec i przyległe ulice zapełniły tłumy. Przyjeżdża generał broni Szeptycki, który jutro uroczyście ma wkroczyć do Katowic. Wita go dowódca 23 Dywizji Piechoty generał Horoszkiewicz, delegacje, straż ogniowa, prasa... Nastrój uroczysty, radosny. Kompanja 73 p. p. budzi w czasie defilady przed dworcem zachwyt publiczności.

Katowice zajęte już przez naszą policję i niektóre władze cywilne. Stojące tam załogą dwa bataljony francuskie wymaszerowały już tego dnia między godziną 8.30 a 10-tą — jeden w stronę Załęża, drugi do Mikołowa. Warty miejskie przejął od nich oddział b. powstańców.

Przed wymarszem owacyjnie żegnanych Francuzów odbyło się zdjęcie powiewających na siedzibie władz koalicyjnych — chorągwi aljantów i uroczyste wywieszenie na ich miejscu biało-amarantowego sztandaru polskiego. Od tej chwili miasto żyło już radosnem oczekiwaniem przybycia ukochanych żołnierzy polskich.

Orły, chorągwie i zieleń pokryły wszystkie domy, droga z Katowic do Sosnowca piętrzyła się 22 bramami triumfalnemi.

Rolę pierwszej jaskółki spełnia pociąg „Poznańczyk", który tegoż dnia jeszcze ma wyruszyć pod dowództwem kpta Münnicha z Sosnowca do Katowic z kwatermistrzami i oddziałem żandarmów. Gen. Szeptycki uprzejmie zaprasza przedstawicieli prasy do wzięcia udziału w tej podróży. Jedziemy w jednym z wagonów towarowych, przyczepionych do „pancerki". W parę minut jesteśmy już „za granicą".

„Poznańczyk" posuwa się wolno. W oka mgnieniu rozniosła się wieść, że pokazali się już pierwsi polscy żołnierze. Droga z obydwu stron toru zaczyna zapełniać się ludźmi, powiewającymi chustkami i kapeluszami, wydającymi okrzyki: „Niech żyje Polska!", „Witajcie"!", „Czekamy!", „Niech żyje Wojsko Polskie!" Ze wszystkich okien i strzelnic „Pancerki" brzmi w odpowiedzi: „Witajcie bracia!", „Niech żyje Górny Śląsk!"

Jakiś staruszek, stojąc koło toru, przesyła nam pozdrowienia, sygnalizując dwoma chorągiewkami z Białym Orłem i — płacze.

Wjeżdżamy do Szopienic. Zabudowania ciągną się stąd do samych Katowic. Masywne fabryki, murowane domki górników, budynki kolejowe i wielkie kominy — ze wszystkich stron. Wszystko na gwałt dekoruje się chorągwiami i zielenią. W oknach, na balkonach, przed domami — głowa przy głowie.

Gdzieś w głębi krajobrazu — ponad dachami domów przesyła nam pozdrowienie wielka biało-czerwona chorągiew, poruszana niewidoczną ręką. „Poznańczyk" nie zatrzymuje się prawie na dworcu osobowym w Katowicahc, rusza na stację towarową, gdzie ma się wyładowywać.

Przedstawiciele prasy wysiadają w Katowicach i udają się do miasta. Jest wśród nich, oprócz mnie, jeszcze jeden oficer — major Remigjusz Kwiatkowski, redaktor „Polski Zbrojnej". Jesteśmy z nim pierwszymi oficerami polskimi, którzy pokazali się na ulicach Katowic z bronią i w mundurach. Kierują się ku nam setki spojrzeń. Na spotkanie nasze przybiega redaktor popularnego a wojowniczego „Kocyndra", p. Przybyła, który tyle przyczynił się do podtrzymania ducha narodowego na Śląsku. Ten, którego znane nam dobrze „Klachule" i „Gustliki" tyle krwi napsuły Niemcom. Dziś promienieje szczęściem... opowiada nam o pożegnaniu Francuzów, prowadzi na Rynek, gdzie w teatrze miejskim znajduje się wartownia. Tu następuje wzruszający moment: Na widok tak długo oczekiwanych oficerów polskich warta powstańcza prezentuje broń.

Zjawia się dowódca warty podporucznik powstańczy Henryk Kalemba wzywa wartę pod broń i zdaje mi meldunek. Pierwszy raport oficerski wojsk polskich na tym Rynku katowickim, który tyle czasu czekał na przyjście swoich żołnierzy!

Obejmuję powstańca i długo tak trwamy w uścisku... Idę na wartownię. Tam gwar i radość. Powstańcy ofiarują mi na pamiątkę metalową odznakę „Orgeszu", zdartą z rozbrojonego wczoraj przez nich w Katowicach jednego z członków tej bandy.

Oto nazwiska powstańców, którzy w tym dniu historycznym pełnili służbę na wartowni w Katowicach:

Ppor. Henryk Kalemba, plut. Wiktor Dyballa, plut. Robert Słowik, szeregowi: Szczepan Sikora, Erich Krzyżowski, Rajnhold Bańczyk, Feliks Szot, Alojzy Smolka, Wiktor Smolka, Jan Romański, Leon Rusecki i b. dowódca kompanji powstańczej Roman Sznewald...

Wieczorem wracamy jednym z pociągów osobowych, które tego dnia zaczęły już kursować pomiędzy Katowicami a Sosnowcem. Tegoż dnia redaktor „Iskry" sosnowieckiej, p. Monsiorski, urządził ze staropolską gościnnością przyjęcie dla dziennikarzy, przybyłych do Sosnowca, a o godz. 8 miasto uczciło generała Szeptyckiego i przybyłych oficerów — bankietem w ogrodzie restauracji „Zacisze" pod gołem niebiem. Wygłoszono szereg patrjotycznych mów. Przyjmowano też i żołnierzy, rozlokowanych w gmachach fabrycznych Sosnowca i Będzina.

Nastał niezapomniany dzień 20 czerwca...

Na moście szopienickim, znajdującym się tuż za Sosnowcem — biało-czarny łańcuch symboliczny, przeciągnięty przez bramę triumfalną, oddziela jeszcze Wojsko Polskie od Ziemi Śląskiej. Kolumny jego stoją już przed mostem gotowe do wejścia. Otacza je las chorągwi i sztandarów różnych cechów, bractw i delegacyj. Cały Sosnowiec wyległ, by uroczystą pielgrzymką iść za wojskiem do tej Ziemi, „skąd nasz ród" i od której przez tyle wieków byliśmy oderwani!

A tam po drugiej stronie łańcucha nieprzebrane tłumy, barwne a radosne, wyszły nam na spotkanie. Jak okiem sięgnąć — chorągwie, karabiny powstańców, kosy postawione na sztorc oddziałów kosynierskich, ludowe stroje banderyj konnych, pióropusze górników. Na tem tle, jako przeżytek przeszłości, ponuro odbijają się mundury i czapki pruskie. To straż ogniowa i urzędnicy państwowi nie zdążyli jeszcze zdjąć tego z siebie, lecz zlecieli się kto w czem stał...



Major Marcińczyk przyjmuje raport od powstańców



Generał Szeptycki wjeżdża na Śląsk

O godz. 9 rano wyciąga się wzdłuż szosy awangarda, samochody pancerne i szwadron 3-go pułku Ułanów. Zaraz potem pokazuje się przed łańcuchem majestatyczna postać generała Szeptyckiego na gniadym koniu, za nim sztab, fanfary i orkiestra ułańska. Padają trzy strzały armatnie...

Po drugiej stronie łańcucha spotyka generała poseł Korfanty, którego przed chwilą Górnoślązacy marynarze udekorowali całego różami. Z trybuny na moście wita generała mową wojewoda górnośląski Rymer. Po nim zabiera głos delegat papieski, ks. Kapica, składa Panu Bogu dziękczynienie za cud połączenia po tylu wiekach, natchnionemi słowy wyraża radość ludu górnośląskiego, który tak czekał na tę chwilę, i wzywa błogosławieństwa dla generała, żołnierzy, dla całej Polski.

Po skończonem przemówieniu zalega cisza, w czasie której pada komenda generała i zarazem potem fanfary ułańskie grają ludowi śląskiemu „przywitanie podług zwyczaju wojskowego".

„Cześć poległym!" — komenderuje generał i odpowiadają mu żałosne głosy trąbek, jak na pogrzebie żołnierskim. „Prognoza na przyszłość!" — i znów fanfara i dźwięki „Roty"...

Do biało-czarnego łańcucha podchodzi w czarnej czamarze i konfederatce powstaniec Chowaniec, z okrzykiem „Gińcie kajdany!" uderza w środkowe ogniwa młotem, łańcuch pęka, droga na Śląsk — wolna! Pierwsza przechodzi granicę Ślązaczka z dziewczynką Gryzówną (najwyżej 4-letnią) na ręku i zbliża się do generała. Dziecko mówi słowa powitania i podaje generałowi bukiet kwiatów.

Ruszamy. Za generałem i jego sztabem posuwa się orkiestra 3-go pułku Ułanów, za nią idą saperzy, 73 p. p., artylerja. Spotyka nas entuzjazm tłumów, żywiołowy jakiś. Czasem ludzie nie mogą krzyczeć, bo płaczą. Deszcz kwiatów leci na karabiny piechoty, mężczyźni kapeluszami zamiatają drogę przed końmi ułańskiemi... „Witajcie!" — „Niech żyje Polska!"

Zda się cały Śląsk wyszedł na spotkanie tej Mocy polskiej, która w postaci żołnierza kroczy tu pochodem triumfalnym.

Cała kilkunastokilometrowa droga od Sosnowca do Katowic zapełniona ludem, stojącym z dwuch stron — szpalerami.

Od czarnych mundurów górniczych jaskrawo odbijaja się barwne stroje ludowe i czapraki banderyj konnych, uszykowane w ordynku, dzieci z kwiatami, sztandary i orkiestry różnych korporacyj, szeregi starszych wiejskich kobiet w jednolitych strojach. Spotykają je żołnierze okrzykiem: „Witajcie, matki!"

Od Szopienic budynki ciągną się już wzdłuż całej nowej drogi. Trudno odróżnić, gdzie kończą się Szopienice, a zaczynają Katowice. Wszystkie domy pokryte chorągwiami i zielenią, w wielu miejscach uiluminowane, pomimo dnia. W oknach i na dachach obrazy i emblematy narodowe, jakby stado orłów białych zleciało nagle z nieba i obsiadło domy i bramy triumfalne śląskie. A bramy te, które co krok spotykamy, to nie zwyczajny szablon tego rodzaju. Niektóre z nich przepiękne, zwłaszcza brama węglowa i brama w kształcie fortecznym w Katowicach. Napisy na nich szczere, płynące z serca. Najwymowniejsze z nich:

„Wszystko dla Ciebie, Polsko!"

„Wszystko, co nasze Polsce oddamy
„W niej tylko żyć, więc idźmy żyć!"

„Świty się bielą, otwórzmy bramy,
„Hasło wydane, wstań, w słońce idź!"

„Witajcie rodacy, witajcie żołnierze,
„Wspólnie złączonych, żaden wróg nie zmoże!"

„Wolna i Zjednoczona Polska niech żyje!"

„Złączeni — staniemy się silni!"

„Ten tylko naród godzien żyć,
„Co czuje sam że żyje".

Na bramie w Szopienicach taki napis:

„Bardzo długo radzono
„Na zjazdach i wiecach
„Aż wreszcie was witamy
„W polskich Szopienicach".

I witają i witają nas... Dzwonią dzwony wszystkich kościołów, płynie pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła!" — huczą strzały powitalne, i brzmi jeden wielki krzyk radości, który zagłusza czasem trąby ułanów.

Jesteśmy już w środku Katowic. Generała wita Rada Miejska. Radni Niemcy wyrażają swoją lojalność i nadzieję, że pod skrzydłami Wojska Polskiego będzie im bezpiecznie. Wchodzimy na Rynek, tonący w zieleni i biało-czerwonych barwach. Generał ze sztabem staje pośrodku. Wojska, defilując przed nim, zajmują cały plac i ulice przyległe. Widok sztandaru 73 p. p. budzi wśród tłumów entuzjam nie do opisania. Wygląd wojsk, postawa ich, rozmach, jednolitość umundurowania i ekwipunku wywołuje powszechny zachwyt, a u Niemców i zdumienie.

Nagle nad Rynkiem i nad Katowicami buchnął hymn „Jeszcze Polska nie zginęła!" Na komendę: „Prezentuj broń!" tysiące karabinów, lanc i szabel błyska w powietrzu i zastyga. Pełne triumfu dźwieki brzmią długo. Kończy piechota, zaczynają ułani! To Wojsko Polskie obejmuje symbolicznie władzę nad Śląskiem.

W tej chwili słońce po deszczu ukazało się zza chmur, zasypując blaskami jeden potężny obraz. Zdawało się, że to cała Polska ze swem wojskiem i ludem przyszła rozmodlona i rozśpiewana pieśniami dawnemi — pielgrzymką wielką do Królowej Jasnogórskiej dziękować za Wolność swoją i prosić o wolność braci jeszcze nie zjednoczonych. A oto obraz Królowej tej widnieje na ołtarzu, urządzonym na wysokich stopniach teatru miejskiego, gdzie stoi warta powstańcza.

Zaczyna się msza polowa i uroczyste „Te Deum laudamus" triumfalne, odprawione przez proboszcza katolickiego ks. Kapicę w asyście 4 księży. Po skończonem nabożeństwie przemawia z trybuny stary bojownik za sprawę Śląska poseł Korfanty. Odpowiada mu z konia generał Szeptycki, oddaje hołd powstańcom, mówiąc, że im powinny oddane być te kwiaty, którymi dziś wieńczono jego. Na znak tego rzuca z siebie pęk kwiatów przed trybunę, z której przemawiał Korfanty. Później podchodzi do generała delegacja powstańcza i ofiaruje mu olbrzymi, dwumetrowy prawie miecz, ukuty przez grupę powstańców Fojkisa „dla tego generała, który pierwszy przyprowadzi Wojsko Polskie na Górny Śląsk".

Zaczyna się defilada. Przed generałem ciągną się bez końca szeregi pięknego pułku piechoty, świetni żółci ułani, artylerja, kulomioty, samochody pancerne, potworne czołgi, oddziały powstańcze, banderje ludowe, sokoli, cechy. — „To cudowne, cudowne" — wołają Francuzi. — „Teraz rozumiem, co znaczy polskość Górnego Śląska" — szepce nam wzruszony przedstawiciel „Times'a".



ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

Nawiązując do majowego numeru, zaznaczyć należy, że z inicjatywy „Instytutu Subsydjów Rodzinnych" (Institution d'Allocations Familiales"), powstała nadbudowa pod nazwą „Porozumienie" (Entente), której kierownikiem jest p. Gustave Bonvoisin. Jest to porozumienie całego szeregu instytucyj społecznych, urzędowych, półurzędowych, które aczkolwiek nie miały za zadanie pomoc rodzinie to jednak *zostały nastawione na zagadnienia rodziny*. W ten sposób skierowano ich działalność nie na jednostki, lecz na rodziny. I znowu triumfuje tu zasada rzymska i katolicka, że podmiotem prawnym życia społecznego jest nie jednostka, ale rodzina. Instytucje te, zgrupowane w „Porozumieniu" obejmują swoją działalnością całokształt życia rodzinnego, t. zn.: zajmują się stroną prawną i gospodarczą, a więc: ustawodawstwem, asekuracjami, oszczędnością i t. p. Również sprawa mieszkaniowa, sprawa ułatwień nabywania i zabudowywania własnych terenów, tak indywidualnych, jak drogą kooperatyw, sprawa ogródków rodzin robotniczych i bezrobotnych, sprawa spółdzielni spożywczych są zadaniami „Porozumienia". Poza tem wszystkiem obejmuje „Porozumienie" zagadnienia higjeny, pomocy w wykształceniu i wychowaniu. Niezadługo podamy w „Kronice" szczegóły dotyczące działalności „Porozumienia".

* * *

Rodzina w dzisiejszej Italji uznaną jest za podstawę ustroju państwowego. Państwo faszystowskie oparło się o rodzinę w pełnem porozumieniu z Kościołem.

Nauka włoska współdziała również pod tym względem z państwem. Na wyższych uczelniach sprawa wychowania rodzinnego przedstawia się następująco:

Na wydziałach pedagogicznych uniwersytetów włoskich, naukowo traktują wychowanie rodzinne.

Narodowa partja faszystowska założyła „Wyższą Szkołę Gospodarstwa Domowego" w St. Gregorio na M-te Celio w Rzymie; szkoła ta jest wzorem wyższej uczelni zagadnień rodzinnych i wychowania rodzinnego.

Inne wyższe szkoły Gospodarstwa Domowego rozwijają się w tym samym kierunku. Wymienić należy także szkoły w Rzymie, Florencji, Neapolu, Bergamo, Wenecji, Medjolanie i t. d.

Profesor Franzoni założył w Medjolanie wyższą szkołę dla kobiet pod nazwą „Magistero Professionel"; przygotowuje ona w sposób doskonały przyszłe matki i wychowawczynie młodych pokoleń Italji. Dziełem tegoż profesora jest również „Włoska Szkoła Matek".

W następnych numerach podamy wiadomości, dotyczące kształcenia społeczeństwa włoskiego w zagadnieniach rodziny na niższych szczeblach oświaty.

* * *

W przyszłym roku (1937) 6—12 maja ma się odbyć w Paryżu II-gi Międzynarodowy Kongres p. t. „Matka w Rodzinie czynnikiem postępu ludzkości". Niżej podpisana, jako przewodnicząca „Komisji do Spraw Rodziny Z. Z. R.", została zaproszoną do Międzynarodowego Komitetu, organizującego powyższy Kongres. Mamy nadzieję, że Polska weźmie w tym czynie międzynarodowym wybitny udział. Informacje otrzymać można: Zofja Jankowska, Warszawa, Okólnik 11 m. 34; Paryż, Mademoiselle Butillard, Secretariat du Congrès Inter. „La Mère au Foyer", 25 rue de Valois. (Kongres odbędzie się w czasie Międzynar. Wystawy w Paryżu.

W Polsce.

Biuletyn „Stałej Międzynar. Komisji Wychowania Rodzinnego w Brukseli" podaje w swoim sprawozdaniu za r. 1935, następujące wiadomości z Polski:

„Liczne są organizacje, zajmujące się kwestjami wychowania rodzinnego w Polsce. W dziedzinie religijno-społecznej: Akcja Katolicka, Matki Różańcowe, szkoły gospodarcze, prowadzone przez zakony i kongregacje, Związek Dzieci Marji. W dziedzinie organizacyj urzędowych i półurzędowych: Rodzina Wojskowa, Rodzina Policyjna, Rodzina Urzędnicza, Rodzina Rezerwistów; Sekcja Matki i Dziecka, Związek Pracy Obyw. Kobiet. W dziedzinie organizacyj społecznych: „Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce, Komisja do Spraw Rodziny Z. Z. R.", „Grupa Rodziców przy Zrębie", — sekcje wychowawcze przy organizacjach kobieco-rolnych w Polsce, a przedewszystkiem „Ziemianek" i t. d.; Związek Pań Domu; Sekcja Wychowawcza Narodowej Org. Kobiet i t. d.

6—7 miljonów rodzin jest dotkniętych (atteintes) w ten sposób propagandą.

Wszystkie badania uniwersytetów, oraz wielkich instytucyj wychowawczo społecznych dowiodły, *że nauka o środowisku* musi być podstawą wszelkiego ulepszenia metod wychowania wogóle, a wychowania rodzinnego w szczególności (prof. Mysłakowski, Kraków; St. Szuman, Kraków; H. Radlińska, Warszawa; dr. Wachowski, Poznań; mg. Czarnecki, Warszawa.

Wielkie ilości wydawnictw zostały wydane 1934 r. przez Akcję Katolicką, jeszcze je rozdawano 1935 r. Pozatem w r. 1935 wydano 14 broszur w 100.000 egz. każda.

Pomiędzy książkami, wydanemi w roku 1935, najbardziej godnemi zainteresowania, podajemy następujące: „Kultura współczesna, a wychowanie młodzieży" Suchodolskiego; „Współpraca szkoły z domem" Lisowskiego z przedmową M. Grzegorzewskiej; „Stosunek wychowawcy do środowiska społecznego" H. Radlińskiej; „Wychowanie i nauczanie" prof. Sośnickiego; „Wychowanie w środowisku małomiasteczkowem" prof. Mysłakowskiego; „Współudział rodziców w obywatelskiem wychowaniu młodzieży" p. Rendznerowej.

Miesięczniki „Rodzina Polska" i „Rodzina i Dziecko", ostatnio wydawany przez „Grupę Rodziców przy „Zrębie", mają duże powodzenie.

Siedm wielkich dzienników i około czterdziestu miesięczników i kwartalników stale publikują artykuły o wychowaniu wogóle i wychowaniu rodzinnem w szczególności. Około 50% wszystkich pism i odezw diecezjalnych z roku 1935 odnosiło się do rodziny i do wychowania rodzinnego, gdyż hasłem działania stolic biskupich wobec encyklik Ojca świętego było: Praca dla rodziny chrześcijańskiej i dla chrześcijańskiego wychowania młodzieży.

Należy specjalnie podnieść i zaznaczyć t. zw. tygodnie „Studjum o Rodzinie" w Poznaniu (24 odczyty, wygłoszone przez profesorów 6 uniwersytetów polskich); takież Studja o Rodzinie" miały również miejsce w Płocku i Łomży.

Organizacje, jak Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce, Grupa Rodziców przy „Zrębie", organizacje rodzicielskie przy szkołach powszechnych i średnich, nie zrzeszone, Akcja Katolicka, organizacje kobieco-rolne, Narodowa Organizacja Kobiet, Macierz Szkolna i wiele innych wygłaszają tysiące odczytów dla młodzieży wszystkich warstw o rodzinie i wychowaniu.

Polskie Radjo daje stale odczyty na temat aktualności pedagogicznych.

Młodzież zrzeszona w Akcji Katolickiej organizuje zebrania dyskusyjne, na których porusza się zagadnienia rodzinne. Istnieją poradnie wychowawcze po większych miastach. Psycholodzy specjaliści dają porady rodzicom w niektórych szkołach średnich.

Przeszło 50 odczytów zostało wygłoszonych dla zaznajomienia szerszego ogółu o rezolucjach „Międzynarodowego Kongresu Wychowania Rodzinnego w Brukseli 1935 r. Sprawozdania z tego kongresu ukazały się tak w dziennikach, jako też i w prasie perjodycznej.

Ksiądz Lewandowicz, dyrektor generalny Męskiej Akcji Katolickiej (130.000 członków), przyjął rezolucje Kongresu jako podstawę działalności tejże organizacji na r. 1936.

Zofja Jankowska.

Z MUZYKI

Na marginesie rocznicy Lisztowskiej.

W roku bieżącym, tak obfitym w rocznice muzyczne, na szczególne podkreślenie zasługuje 50-lecie zgonu Franciszka Liszta (1811 — † 1886). Nie będziemy zagłębiać się tu w anegdotyczne szczegóły biografji węgierskiego muzyka; a znalazłoby się ich sporo — i to bardzo ciekawych. Liszt wiódł bowiem życie naprawdę niezwykle bujne i bogate, typowe dla artysty z epoki romantycznej; życie, które poprzez błyskotliwą karjerę bożyszcza estrady i ulubieńca salonów, poprzez rozwichrzoną „cyganerję" (w luksusowem, nie Mürgerowskiem, wydaniu) — doprowadziło go wkońcu... do niższych święceń kapłańskich.

Sztuka Liszta harmonizowała ściśle z tem życiem, była jego zwierciadłem i najdoskonalszą ilustracją. Współcześni widzieli w niej wspaniały, olśniewający fajerwerk artystyczny, widzieli też pewien kierunek, szkołę twórczą i odtwórczą, ku której garnęło się chętnie i licznie młode pokolenie adeptów i przyszłych luminarzy muzyki. (Wymienię tu na jednem z czołowych miejsc Polaka, przedwcześnie zmarłego Juljusza Zarębskiego). Tem była sztuka Liszta dla współczesnych; dla nas, dzisiaj, jest ona ponadto jednym z najciekawszych, najbardziej charakterystycznych dokumentów epoki romantyzmu.

Praca artystyczna Liszta szła równolegle dwiema drogami: kompozytorską i wirtuozowską. Sylwetkę Liszta-pianisty, zwanego powszechnie „królem fortepianu", odtworzyć nam dziś mogą liczne recenzje, listy, pamiętniki, studja oparte na świadectwach uczniów i słuchaczy. Z tych dokumentów i w znacznej mierze z utworów fortepianowych Liszta wyłaniają się przed nami główne składniki jego „genre'u" odtwórczego: więc siła ogromna, więc śpiewność i głębia uderzenia, więc technika wprost oszałamiająca, dla której nie istniały trudności, a wszelkie problemy nasuwały się bodaj tylko po to, aby można je było z pełnią swobodnej beztroski rozwiązać i przeobrazić w pole do wspaniałego popisu. Więc kameleonową wielobarwność dźwięku, teatralny patos frazowania, temperament płomienny i wybuchowy. Pamięć posiadał Liszt doskonałą, podniesioną jeszcze przez specjalne, systematyczne ćwiczenia; dzięki niej, oraz niezwykłej wytrzymałości, mógł pierwszy zerwać ze starodawnym obyczajem „składanych koncertów" i wypełniać grą swoją cały wieczór, wytwarzając przyjęty dziś powszechnie typ koncertu-recitalu.

W epoce, która wydała najpotężniejszych tytanów fortepianu, jak np. Thalberg czy Kalkbrenner, w środowiskach, przez które przewijali się najznakomitsi wirtuozi, Liszt wysuwał się stale na czoło. Współcześni zestawiali demoniczny czar jego gry ze skrzypcową magją Paganiniego. Za jeden z niezliczonych dowodów uwielbienia publiczności muzycznej dla Liszta służyć może następujący (autentyczny) urywek rozmowy dwóch słuchaczek paryskich:

„Thalberg jest pierwszym pianistą świata!" — rzekła jedna z nich.

„A Liszt?" — zapytała druga.

„Liszt? Liszt jest jedynym!" — brzmiała entuzjastyczna odpowiedź.

To jedyne w swoim rodzaju stanowisko Liszta w wirtuozowstwie fortepianowem uznawała zgodnie cała Europa, zwłaszcza Francja. Przekonaliśmy się o tem i my, gdy w 1843 roku Liszt koncertował w Warszawie i Krakowie.

Na drogę kompozycji wstąpił Liszt stosunkowo późno, bo dopiero w 40-tym roku życia, już w zenicie sławy pianistycznej. Praca jego na polu symfonicznem stała się dalszem ogniwem w rozpoczętem przez Berlioza dziele wzbogacania kolorystyki orkiestrowej. Poważne miejsce w historji muzyki zawdzięcza Liszt swemu wyłamaniu się z obowiązującej formy symfonji i stworzeniu formy nowej: jednoczęściowego poematu symfonicznego opartego zwykle na programie literackim. Takich poematów napisał Liszt dwanaście (Mazepa, Tasso, Prometeusz i t. d.) W dziedzinę programową wkracza też poniekąd mimo zachowania dawnej formy cyklicznej, trzyczęściowa symfonja „Faust", której poszczególne części mają być portretami duchowemi trzech



J. Liszt

naczelnych postaci dzieła Goethego: Fausta — Małgorzaty — Mefista. Do uprawiania formy poematu symfonicznego skłaniała Liszta jego niezmiernie bujna wyobraźnia muzyczna; dzięki niej kreślił on obrazy dźwiękowe, uderzające barwnością i plastyką.

Wyobraźnia ta święciła triumfy w licznych (około 60) pieśniach Liszta, utrzymanych w charakterze bądź to balladowo-epickim, bądź lirycznie śpiewnym, bądź deklamacyjnym; wszędzie barwa nastrojowa tekstu, uchwycona z niezwykłą trafnością, rysuje się wyraźnie. Tak w partji wokalnej, jak w akompanjamencie, zawsze bogatym i ciekawym, a czasem prawie wirtuozowskim. („Loreley", „Sonety Petrarki", do niedawna zapomniane jako pieśni, znane tylko z fortepianowej transkrypcji autora). W tem solowem niemal traktowaniu akompanjamentu przejawia się już dobitnie fakt, że Liszt — to przedewszystkiem rasowy pianista.

Toteż dla historji muzyki największe, epokowe wprost znaczenie mają nie poematy, nie wielkie oratorja („Chrystus", „Św. Elżbieta" i „Św. Stanisław"), nawet nie pieśni — lecz twórczość fortepianu Liszta. Po dziś dzień stanowi ona niemal ostatnie słowo w dziedzinie wirtuozostwa; odbijają się w niej, jak w zwierciadle, te wszystkie pierwiastki, które twórcę jej wysunęły na pierwszy plan wśród pianistów jego epoki. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że nikt przed Lisztem i nikt po nim nie rozumiał fortepianu tak głęboko i nie zdziałał tyle dla rozszerzenia skali jego możliwości. Chopin odegrał tu zupełnie inną rolę: on uszlachetnił, uduchowił fortepian, czyniąc go narzędziem najczystszych natchnień, jakie zna muzyka; Liszt natomiast rozpętał orkan na klawiaturze, wyzwolił cały ukryty w niej blask i żywioł wirtuozowski.

Niepodobna omówić tu, choćby w przybliżeniu, wszystkich utworów fortepianowych Liszta, od wielkiej sonaty h-moll do najdrobniejszych minjatur, bardzo często opatrzonych programowemi tytułami i powiązanych w cykle. („Années de pelérinage", „Harmonies poétiques et religieuses", „Legendy" i inne). Wielką popularność zdobyły „Rapsodje węgierskie" (w liczbie piętnastu), w których folklor stapia się w jedno z kosmopolityczną wirtuozerją. Najpoważniejsza może pozycja w Lisztowskiej twórczości fortepianowej, to długi szereg transkrypcyj pieśni Schuberta (jest ich kilkadziesiąt), Schumanna, Mendelssohna, Beethovena i Chopina, etiud Paganiniego (sławna „Campanella") oraz wielu fragmentów z oper Mozarta („Don Juan") i Wagnera („Śmierć Izoldy", prząśniczka z „Holendra-Tułacza"). Niemal wszystkie te utwory jeżą się od trudności technicznych — a jednak są zawsze niezmiernie wygodne dla ręki, nigdy nie męczące, nawskroś pianistyczne — i nawskroś estradowe, w efekcie niezawodne. I dlatego, dopóki trwać będzie sztuka pianistowska, póty utwory Liszta ani solowe, ani koncerty z orkiestrą, nie mogą zejść z programów. A podczas studjów, jak nieocenioną pomoc stanowią ich wielkie walory pedagogiczne! przyszły pianista nabiera na nich zmysłu estradowego, swobody i rozmachu, uczy się modelować frazę plastycznie i tonem pięknym, poznaje niemą a tak ważną wymowę pauz (Sonata h-moll) i sam nie zdając sobie z tego sprawy, nieskończenie posuwa naprzód technikę. Dla tych nieprzemijających wartości utwory Liszta były zawsze objęte programem nauki w uczelniach muzycznych wszelakiego typu, tak średnich jak wyższych, z Konserwatorjami na czele.

Dlatego trudno jest pogodzić z modnym dziś, najnowszym prądem współczesnym, który możnaby nazwać „odbronzawianiem" Liszta. Reprezentanci tego kierunku traktują całą muzyczną i uczuciową stronę twórczości Liszta jako zjawisko niemal patologiczne, a utwory jego ujmują wyłącznie pod kątem brawurowego popisu, lub wprost etiudy technicznej. Przy takiem nastawieniu, przy świadomem zamknięciu oczu na całą niezaprzeczoną poezję Lisztowskiej muzyki, na pierwszy plan wysuwa się w każdym utworze... siła i szybkie tempo. Główną zaś refleksją i wrażeniem dominującem będzie w słuchaczu podziw dla technicznej sprawności wykonawcy, dla perlistych biegników, sprężystych oktaw, pełnych i dźwięcznych akordów. Twórca zniknie w cieniu, poza blaskiem odtwórcy;

całe piękno wielu Lisztowskich pomysłów melodyjnych, harmonicznych i kolorystycznych ujdzie uwagi słuchacza. Zwłaszcza kantylena Liszta, ochłodzona wewnętrznie, pozbawiona nastrojowości i romantycznego gestu, który jest przecież jej istotą, staje się uboga i dziwnie kanciasta zarazem, traci nietylko wdzięk, ale wprost rację muzycznego bytu.

Genezy tego nowego kierunku w interpretacji Liszta możnaby się doszukiwać w zdrowym odruchu obrony przeciw niebezpiecznej manierze, jaka może płynąć z „przekarmiania" młodych pokoleń pianistowskich muzyką Liszta. Niebezpieczeństwo takie może się istotnie wyłonić w każdej chwili; jednak... dawna szkoła rozumiała je równie dobrze i znała sposoby, aby się przed niem ustrzec. „Nihil novi sub sole". Zresztą tam, gdzie na straży pracy artystycznej, a zwłaszcza studjów, stoi dobry smak i umysł zdrowy, krytycznie wyostrzony, tam niema obawy o manierę i przesadę w jakimkolwiek kierunku.

Mimo wszystko, kompanję „odbronzawiającą" trudno jakoś przeprowadzić w praktyce. Teorja a... estrada — to dwie różne rzeczy. Ci sami artyści, którzy potępiają „efekciarstwo" i „kabotynizm" Liszta — nie przestają wykonywać publicznie jego utworów. Nawet Sonata h-moll, na której „dłużyzny" pada najwięcej gromów, utrzymuje się na estradzie, i to w całości; skróty, zaprojektowane przez jednego ze słynnych współczesnych pianistów i ogłoszone drukiem, nie zdobyły sobie dotychczas szerszych praw obywatelstwa.

Można mieć dzisiaj pewne zastrzeżenia co do czystości atmosfery muzycznej, panującej w dziełach Liszta; można nie godzić się z programowością jego muzyki, z jej koturnowym patosem, z rozrzutnem szafowaniem efektami. Z powodu tych cech, sprzecznych z duchem naszych czasów, Liszt może nie odpowiadać współczesnemu m u z y k o w i — zawsze jednak będzie odpowiadał p i a n i ś c i e. Zawsze przez jego utwory dokonywać się będzie przymierze ręki z klawiaturą, zrośnięcie się ich wzajemne. W tych właśnie utworach wykonawca wchodzi radośnie do otwartego sanktuarjum tajemnic instrumentu, zdobywa je i opanowuje jedną po drugiej. Lisztowski fortepian, to przyjaciel pianisty. I dlatego rocznica, która w bieżącym roku przypada, jest datą ważną w pierwszym rzędzie dla pianistów; przedewszystkiem oni powinni ją obchodzić solennie i ze szczerym pietyzmem. *Jadwiga Szamotulska.*

Z ŻYCIA KOŚCIELNEGO

Inauguracja Wystawy Prasowej w Watykanie.

Dnia 12 maja r. b., w dniu swoich imienin, Ojciec św. w otoczeniu wszystkich kardynałów kurjalnych oraz kardynała prymasa Węgier Serediego udał się o godz. 11-tej do sali reprezentacyjnej pawilonów wystawowych celem dokonania aktu inauguracji Światowej Wystawy Prasy Katolickiej. W przejściu na teren Wystawy w Muzeum Watykańskiem oczekiwał Papieża korpus dyplomatyczny, wielki mistrz maltański, gubernator Miasta Watykańskiego, dwór papieski, wyżsi dostojnicy kościelni rzymscy oraz prezesi i przedstawiciele wszystkich komitetów narodowych.

Sala reprezentacyjna Wystawy, udekorowana arrasami, wyobrażającemi Adorację Królów i Zmartwychwstanie, przedstawia



Ojciec św. na wystawie prasowej



Dział polski na wystawie prasowej



Obraz H. Rosena na wystawie prasowej

wygląd wspaniały. Z szerokiego okna naprzeciw tronu papieskiego roztacza się widok na słynną muszlę, którą Bramante uwieńczył piękny budynek Belwederu. —

Gdy Papież zasiadł na tronie, otoczony świetnem orszakiem prałatów, dostojników kościelnych i swego dworu, zabrał głos hrabia Dalla Torre, przewodniczący komitetu wystawowego. Światowa Wystawa Prasy Katolickiej, mówił, jest świadectwem oddania prasy katolickiej Namiestnikowi Chrystusowemu pod hasłem krucjaty. Na wezwanie komitetu odpowiedzieli wszyscy, nawet ci, którym warunki nie pozwoliły zjawić się osobiście. W ich stronę obecni skierowują swe myśli i życzenia braterskie. Sam Ojciec św. pragnął, by Wystawa, mająca uświetnić 75-lecie „Osservatore Romano", odbyła się w siedzibie Ojca chrześcijaństwa i w Jego bezpośredniej bliskości. Zaprojektował Wystawę architekt Giovanni Ponti i koncepcję swą ujął w formę krzyża, który ramionami obejmuje jak ojciec swe dzieci, gdy pień główny rozkwita apostolstwem życia zakonnego, Akcji katolickiej i misyj. Ten wyraz hołdu dla Ojca św. godnym jest mocnej wiary, z którą dokonano dzieła mimo niepewności, trudności i złych okoliczności czasów obecnych, wiary mocnej i silnej w Boga, w której pokładano ufność i która zatriumfowała. Komitet ma nadzieję, że wystawa da prasie korzyści zarówno zawodowe i techniczne, jak i moralne przez to, że katolicy coraz lepiej rozumieć będą, iż dla skutecznej obrony sprawy dobrej trzeba uzbroić się w prawdę. Komitet sądzi, że dzisiejsze pokojowe wielkie zebranie się u boku wspólnego Ojca może być jednocześnie pięknym przykładem obywatelskiego pokoju i braterstwa i, odpowiadając najszczytniejszym dążeniom Namiestnika Chrystusowego, może stać się wróżbą pacyfikacji narodów. Wszystkim współpracownikom Wystawy, kongregacjom i zakonom religijnym, władzom świeckim wszystkich krajów, zarządowi technicznemu Miasta Watykańskiego, drogą będzie świadomość, że Papież z dnia na dzień śledził prace na Wystawie, wciąż zachęcał i służył radami z prawdziwie ojcowską przychylnością i życzliwością, obecnie zaś dopełnia swego zainteresowania udzieleniem błogosławieństwa dokonanemu dziełu. Niechaj to błogosławieństwo ogarnie wszystkie dzienniki, wszystkich dziennikarzy świata, którzy w tej chwili, zajęci swą pracą codzienną, oczekują wieści o niem z synowskiem pragnieniem przekazania jego dobroczynnego echa całej wielkiej rodzinie katolickiej.

Na adres hołdowniczy hr. Dalla Torre Ojciec św. odpowiedział krótkiem przemówieniem.

Empire State Building.

Oczy całej Ameryki zwracają się od pewnego czasu ku wspaniałemu drapaczowi chmur w Nowym Jorku, Empire State Building, nie dlatego, że należy on do najwyższych budowli świata, ale dlatego, że tam mieści się sztab generalny Akcji Katolickiej, obejmującej swym zasięgiem zarówno Stany Zjednoczone, jak i Kanadę. Tu wraz z zastępem wyszkolonych współpracowników rezyduje sam Alfred Smith, b. kandydat na prezydenta Stanów, stąd poczynają się nici olbrzymiej sieci propagandy Akcji Katolickiej, tu jest centrala przeszło dwóch tysięcy jej kół, rozsianych po całym olbrzymim obszarze Ameryki Północnej. Ponad 50 tysięcy najdzielniejszych i najenergiczniejszych bojowników sprawy katolickiej, rekrutujących się przeważnie spośród zasłużonego stowarzyszenia Rycerzy Kolumba, bierze udział w akcji propagandy. Stanowią oni straż przednią Akcji Katolickiej, której członków liczyć dziś można już na miljony. Wśród członków naczelnego komitetu Akcji Katolickiej obok Alfreda Smitha widzi się najpoważniejsze nazwiska spośród senatorów, członków Kongresu, uczonych prawników, lekarzy itd. Patronuje im pięciu kardynałów amerykańskich a sam Ojciec św. błogosławi.

Na jednem z ostatnich zebrań William Larkin, jeden z członków komitetu naczelnego, wyłuszczył trzy najbliższe pozytywne cele katolickiej akcji amerykańskiej. Są to: umocnienie niedawno stworzonego a tak już — i to nietylko dla katolików — zasłużonego Legjonu Dobrych Obyczajów, akcja protestacyjna przeciw prześladowaniu religji w Meksyku — równie jak akcja Legjonu popularna, wreszcie, co najważniejsze, konsolidacja wszystkich katolików Ameryki. Ta ostatnia akcja obejmuje z jednej strony konsolidację wysiłków katolickiej dobroczynności w stowarzyszeniach charytatywnych, z drugiej troskę o katolickie wychowanie młodzieży i katolickie szkolnictwo.



Papież słucha przemówienia hr. Dalla Torre

Jednym z najważniejszych środków propagandy Akcji Katolickiej jest radjo, głównie za pośrednictwem sieci stacyj nadawczych słynnej NBC. Tu szczególne pole do popisu ma znany już w całym świecie o. Coughlin. Wykładów jego, zwłaszcza na tematy chrześcijańskiej przebudowy społecznej w myśl nauki Kościoła katolickiego, słucha dziś z zainteresowaniem cała Ameryka bez względu na przekonania religijne. Obok niego ostatnio począł przemawiać dr. Ross Hoffman, profesor uniwersytetu w Nowym Jorku, jeden z najwybitniejszych katolików amerykańskich. W imieniu inteligencji katolickiej wzywa on wszystkich katolików amerykańskich, by zaniechali pozostawania w bierności politycznej, lecz brali jaknajczynniejszy udział w życiu społecznem, politycznem i gospodarczem. Wpływy liberalizmu zbyt już wielkie szkody poczyniły, by pozwolić im nadal utrzymać te wpływy. Katolicy powinni przejść do akcji politycznej czynnej i utworzyć blok, którego opinja zaważy na losach społeczeństwa.

Z FILMU

„Załoga", francuski film wyświetlany w Stylowym ma ciekawą stronę lotniczą. Widzieliśmy coprawda z życia lotników całe mnóstwo filmów, niektóre z nich bardzo dobre, jak np. „Nocny lot" St. Exupery-ego. „Załoga" daje jednak kilka mocnych podejść do życia tego świata podniebnych rycerzy, którego psychologja ma w sobie tyle niepokojącego uroku. Brawura i lęk — dwa pierwiastki złotą i czerwoną nicią przesnuwające wątek życia lotnika. A obok tego cały bogaty deseń prostych ogólnoludzkich wzruszeń i przeżyć.

Jeden z jego fragmentów pokazuje nam „Załoga". Mamy w niej bardzo ciekawie zarysowany problem wierności małżeńskiej. Komplikuje się on przez moment przyjaźni i kamaraderji, wyrażonej w owym terminie „Załoga". Dwaj mimowolni zresztą rywale znaleźli się w załodze jednego aeroplanu. Jest to źródłem przykrych, chwilami tragicznych udręczeń, aż wreszcie litościwy los przysyła „śmierć lotniczą" i jednego z nich zabiera. Zostaje mąż. I teraz finał. Jeden z najciekawszych i najsubtelniejszych momentów filmu. Mąż zdaje żonie relację z tego, że jego rywal umierał z imieniem umiłowanej kobiety na ustach. I tem ją ponownie dla siebie zdobywa.

Film, jak widać, niepozbawiony mocnych momentów dramatycznych. Obsadę aktorską stanowi szereg wybitnych artystów: Charles Vanel gra męża, Anabella — żonę — jakkolwiek nie całkowicie odpowiada ta rola jej predyspozycjom, J. Murat gra kapitana eskadry. Śmierć jego jest jednym z najbardziej wzruszających momentów filmu.

„Papua", grane w „Romie", przenosi nas w atmosferę ludzkiego pierwobytu w daleki świat wysp Oceanji i ich egzotycznych ludów. Kamera kinowa przewędrowała dziś już wszystkie zakątki ziemi, wdzierała się w niedostępne głębie puszcz i pustyń, dobywając na jaw tajniki ich życia zwierzęcego i ludzkiego.

Ale przecież nie brak osobliwości na świecie. Nie brak lądów nie zbadanych, ludów mało znanych, o dziwnych, dziwacznych zwyczajach i obyczajach. Na dalekich morzach południowych pleni się bujne życie oddane dwu żywiołom: lądu i wody.

Objektyw kinooperatora wnika w jego treść, chwyta na gorącym uczynku zjawiska tchnące egzotycznem pięknem, posągowość

brunatnych kształtów, dziwacznie rozstrzępionych fryzur.

A przedewszystkiem rytm, tempo i urok tego życia, rozwijającego się wśród niesamowicie bujnej, wrogiej, a przecież i przyjaznej człowiekowi przyrody. Wrogiej, bo czyhającej nań tysiącem niebezpieczeństw, przyjaznej, bo trzeba je tylko pokonać, by istnieć, pławić się i cieszyć blaskiem słońca, i karmić tem, co bujnie pod jego opiekuńczemi promieniami dojrzewa.

Słowem film ciekawy, budzący drzemiący w naszej podświadomości instynkt egzotyki, pewnej zdrowej, naturalnej drapieżności, wyrażającej się w związaniu z życiem, chęci czerpania z jego skarbów, czarów i uroków tego wszystkiego, co Stworzyciel przeznaczył swemu stworzeniu. Film zdrowego optymizmu, tęgiej, naturalnej radości życia.

„Folies Bergere" — paryski humor owiewa tę historyjkę, pełną niespodzianych powikłań, zabawnych nieporozumień, groteskowych qui pro quo.

Markiz Cassini ma sobowtóra w osobie popularnego aktora rewjowego Charliera. Markiz zabrnął w długi, zresztą i w miłostki. Tak, że grozi mu katastrofa: krach i rozwód. Z tej opresji ratuje go Charlier, który przeprowadza szczęśliwie tranzakcję, a żonę markiza skłania do przebaczenia lekkomyślnemu małżonkowi. Jak się to wszystko odbyło, trzeba koniecznie zobaczyć na filmie. Zabawny kontredans figur, pełna wesołości piosenka, bajeczna wystawa pomysłowych numerów w Folies Bergere, składają się na pierwszorzędną całość.

A jeśli dodamy, że w podwójnej roli występuje Maurice Chevalier, nie potrzebujemy tracić więcej słów na zachętę.

„Kochany łobuz", sztuka naładowana humorem, jak bomba dynamitem. Nic więc dziwnego, że widownia wybucha co chwila salwami śmiechu. Bo też przezabawne są te przygody rezolutnej Bessie, która w zawodowej froterki została żoną właściciela magazynu mód. Any Ondra umie subtelnemi grymasami, przezabawną mimiką podkreślić każdy ważniejszy moment akcji. Nic więc dziwnego, że nie możemy oderwać od niej oczu. Historyjka o paniczu, który niespodzianie dla samego siebie zaczął grać rolę włamywacza, a potem zabrał się do froterki, a wszystko dlatego, że się zakochał, ma swój wdzięk no i daje pole popisu dla groteskowych powikłań. Pocóż je analizować, kiedy trudno się od śmiechu powstrzymać.

ZE SZTUKI

Aktualnem uzupełnieniem wystawy „Warszawa przyszłości" jest artystyczna ekspozycja w Zachęcie „Warszawa w obrazach". Rozpada się ona na dwie części: historyczną i współczesną. W pierwszej mamy przegląd dawnej Warszawy z czasów króla Stasia, kiedy jej piękności architektoniczne i urbanistyczne osobliwości portretował Canaletto. Na starych olejnych płótnach oglądamy panoramy i urbanistyczne fragmenty, mówiące całkiem wyraźnie, czem była nasza stolica lat temu sto. Jakie stały wówczas gmachy — wiele z nich zresztą dochowało się naszych czasów, choć w zmienionej postaci — jaka była konfiguracja miasta i jego dzielnic. Pod tym względem przejrzysty przegląd daje panorama zdjęta lat temu koło sześćdziesięciu z dachu Teatru Wielkiego w czasie jakiegoś zjazdu inżynierów. Miasto było niewielkie, bez wyraźnych wylotów na zewnątrz, z arterjami komunikacyjnemi dość zacieśnionemi. Miało



Walka o piłkę *Paweł Dadler*



Cykliści *Aleksander Jędrzejewski*

jednak swój wyraz, było architektonicznie zestrojone, zharmonizowane dzięki panującemu w niej przemożnie stylowi neoklasycznemu i dawniejszym przymieszkom barokowym. W dzisiejszej Warszawie styl się zepsuł. Panuje chaos, niema ani jednego fragmentu architektonicznie zamkniętego. Toteż malarze Warszawy współczesnej jaknajstaranniej unikają utrwalania na płótnie architektury nowoczesnej, chętnie za to sięgają do dawnych „romantycznych" zakątków. Tak robi Nehring, Trzebiński, Iwanowski.

Istotnie w nowej Warszawie trudno jest znaleźć coś, coby skutecznie rywalizowały z królewskiem pięknem łazienek, będących niewyczerpanem źródłem natchnienia całych pokoleń malarzy.

Innego rodzaju malarstwa na temat dostarcza wystawa w I. P. S'ie pod hasłem „Sport w sztuce"; zorganizowano ją jako krajową eliminację przed olimpjadą sportową w Berlinie. Wystawa, naogół biorąc, nie zawodzi widza mimo skromnych rozmiarów. Jej ogólny poziom jest lepszy od wystawy „Warszawa w obrazkach". Oczywiście w zagadnienia sportowe można włożyć więcej pasji. Anegdota, w którą wplecione jest ludzkie ciało w ruchu, daje okazję do popisów dynamiki linji i kształtu. Kontakt z przyrodą do kolorystycznej bujności.

Z większych dzieł rzuca się przedewszystkiem w oczy tryptyk dekoracyjny prof. Kowarskiego „Łucznicy", utrzymany w ceglastej tonacji (jedynie w prawym fragmencie powietrze jest mocno błękitne) ma naogół dużo spokoju, jednak pewnemi ciekawemi i szlachetnemi środkami ekspresji — drzewa nagięte wiatrem — narzuca wrażenie pędu, świstu, lotu strzały. Artysta osiągnął tu pierwszorzędny efekt dynamiczny. Podobny efekt mamy w paru płótnach z tematem konia. Skjoring i steeple-chaise mają w sobie tak świetnie uwydatniony żywioł pędu, że samo powietrze rozgrzane, wibrujące, uginające korony drzew, zdaje się gnać gdzieś naprzód oszalałym tumanem.

To jest niewątpliwie świetne, i artysta, który umiał wydobyć ten efekt na niewielkiej przestrzeni płótna, zasługuje na nasz szczery podziw.



Drzeworyt *Wanda Talakowska*

Dużą statyczność i przedewszystkiem spokój mają pejzaże sportowe, wśród których jeden groteskowy — Malczewskiego Rafała. Przedziwny pomarańczowy ich koloryt działa podniecająco. Doskonale prezentuje się, jakkolwiek nieliczna, rzeźba. Łyżwiarka słusznie została zakwalifikowana na Olimpjadę.

Drzeworytnictwo ma kilka arcydzieł Goryńskiej — świetna szermierka! — i Mrożewskiego, fascynującego srebrzystością swej faktury.

Trudno tu wymieniać wszystkie nazwiska i pozycje. Podkreślimy jedynie niektóre dzieła, jak np. kilka scenek z ringu, z hockeya, z wyścigu szosowego rowerzystów. Dziwi trochę brak zainteresowania dla tematu samochodu i samolotu. Widać że jesteśmy krajem ubogim i jedyny „luksus komunikacyjny", na który sobie artysta może pozwolić, to najwidoczniej rower. Prof. Pruszkowski, mający aeroplan, to arcywyjątek...

Z TEATRU

We Francji laureatem literackim jest zostać wcale łatwo. Trzeba do tego dwu rzeczy: umiejętności maczania pióra w atramencie i pieniędzy... swego wydawcy. A talent. No, oczywiście jest potrzebny. Ale to nie najważniejsze. Chodzi głównie o to, żeby jury zgodziło się jednomyślnie na jednego kandydata. Jakim cudem uzyskać tę świętą zgodę, przecież każdy członek jury ma swe upodobania, swe gusta no i swego protegowanego. Jakim cudem sprowadzić to wszystko do wspólnego mianownika? Tym środkiem wyrównania opinji nad jednym mianownikiem jest... pieniądz. Taką tezę rzuca nam Bourdet w komedji „Ostatnia nowość" Vieut de paraitre).

Opowiada on nam w zabawnym tonie o losach nagrody imienia Zoli. Wydawca Moscat forsuje nikomu nieznanego „genjusza" Marka, który spłodził kiedyś słabą książczynę, zaczerpniętą nb. z pamiętników żony. Oczywiście złoto zrobiło swoje. Marek zostaje laureatem. Wydawca oczekuje teraz na dalsze dzieła swego benjaminka. Niestety, brak mu tematu. Jest to człowiek jednej książki. Życie jego psychiczne jest ubogie, rzekomo dlatego, że ubogie, bez barwy, bez wydarzeń jest jego życie osobiste. Co tu robić. Moscat jest genjalny. Postanawia wyreżyserować dramat z życia Marka, żeby obudzić jego wenę pisarską. W tym celu Markowi wmawia, że żona jego Żaklina pragnie odmiany, jednocześnie wtajemnicza ją w swój plan. Z żartu robi się rzecz serjo. Żaklina bowiem zadurzyła się



Polo *Zygmunt Piotrowski*

przez chwilę w Moscat. Marek cierpi i pisze. Żaklina tymczasem znudziła się kabotyństwem Moscat'a, wraca do męża. Całość ogniska domowego uratowana, ale dwa opasłe tomiska wkrótce wyjdą spod prasy. Wydawca też zarobi. Wyśmienitym wydawcą był Samborski, pełnym ekspresji Markiem Leszczyński, piękną Żakliną — Gorczyńska.

Ciesząca się fenomenalnem powodzeniem „Matura" Fedora znajduje naśladowców przedewszystkiem na Węgrzech. Zazdrosny o sukcesy swego rodaka Bekefi spłodził ciekawą sztuczkę „Nieusprawiedliwiona godzina" o wybitnie już komedjowym uśmiechu.

Jest to historja o młodej dziewczynie, która, nie ukończywszy klasy ósmej, wychodzi zamąż. To nagłe wyrwanie ze środowiska szkolnego, w którem mimo chętki do wagarowania, czuje się dobrze, stwarza przykrą lukę psychologiczną. Pani profesorowa (bo Lili wyszła za profesora uniwersytetu) tęskni do ławki szkolnej i ostatecznie potajemnie zapisuje się do ósmej klasy, by zdobyć maturę. Komiczne powikłania w szkole i w domu, jakie stąd wynikają, bawią widzów doskonale. Pani pro-



Hokej *Eug. Arct*

fesorowa z trudem może uzgodnić obowiązki światowej damy, do godziny 4-tej w nocy, bawiącej gości przy brydżu z zadaniami uczennicy o 8-mej rano obowiązanej siedzieć w ławce no i uczyć się.

Z tem jest zupełnie źle. Pani profesorowa zbiera dwóje i grozi jej „wylanie z budy". Gorzej, bo mąż grozi rozwodem. Lecz wszystko się wyjaśnia, wśród całego cyklu zabawnych perypetyj. Rzekomy kochanek okazuje się rozczochranym korepetytorem, niezrozumiałe wycieczki Lili spacerkiem w szkolnym mundurku, tajemnicze listy przepisywanem zadaniem karnem.

Ale Lili ma tego wszystkiego dość. Dojrzała wreszcie i czuje się psychicznie maturzystką.

Sztuka ubocznie i wśród komedjowych grymasów dotyka ciekawego zagadnienia dojrzewania umysłowego młodzieży. Mimowoli narzuca się w niej teza: najpierw matura, potem małżeństwo. Oczywiście matura niekoniecznie pojęta jako test szkolny. Chodzi tu raczej o przeżycie do końca pewnego cyklu rozwojowego. Zahamowanie tego przeżycia stwarza przykrą lukę psychiczną, głód, który wtłacza się w sferę podświadomości, i tworzy „kompleks matury".

Interesującą, pełną blasków i uśmiechów życia maturzystką była Lindorfówna. Profesorem, który mimowoli wywołał u swej żony ów „kompleks", wytworny Różycki.

„Zamach" w „Ateneum" jest pod każdym względem sztuką ciekawą. Przedewszystkiem rozegrywa się ona dosłownie między dwoma bohaterami. Historja jest tragicznie prosta i powikłana. Żona działacza socjalistycznego zabiła ministra, z którym mąż jej walczył. Dlaczego? Uwiódł ją i wyzyskiwał. Wytwarza się sytuacja niedozniesienia. Mąż miałby tysiąc powodów, by życzyć sobie „zniknięcia" rywala. Zanadto jest jednak prawy, by aprobować skrytobójstwo. A tymczasem przez ironję losu cała opinja przypisuje mu winę tej śmierci. I wreszcie na tle psychologicznej gry ze swą żoną decyduje się przyjąć na siebie jej winę.

Jaracz dał maksimum nasilenia tragicznego w postaci męża. Eichlerówna dzielnie mu sekundowała, robiąc może nawet więcej niż tego wymagała dość nieciekawa i mimo wszystkie tragiczne grymasy płytka postać żony.

Jest pewnikiem, że zabawne historyjki, kręcące się dookoła pierwszego zetknięcia się z życiem młodej panny, spotykają się z gorącem przyjęciem P. T. publiczności. Wpływają na to dwa czynniki: humor i sentyment. Jeśli kogo nie weźmie dowcipne skomentowanie pozornych tragedyj życia, to napewno przemówi doń łezka liryczna, wyciśnięta odruchową sympatją dla młodego stworzenia, przekraczającego Rubikon.

Wie o tem doskonale Walter Ellis, który z pierwszorzędnym skutkiem posłużył się obu elementami eksploatowania uwagi widowni w naprawdę doskonałej „Omal nie nocy poślubnej", wystawionej przed laty.

Poznawszy tajniki zdobywania publiczności korzysta z nich już bez ceremonji w nowej swej komedji „Pierwszy występ Jenny". Historyjkę tę znamy z powieści tegoż autora, zaczytywanej na strzępy po czytelniach.

To skłoniło go do przerobienia jej na scenę. Pomysł nie był zły. Szczególnie frapująca jest sytuacja w akcie drugim, w którym Jenny przeżywa swą wielką przygodę życia. Połączenie naiwności dziewczęcia, ledwie, ledwie rozróżniającego smak życia, z budzącą się kobiecością daje niezawodny zawsze coctail.

Przyprawiła go nam Romanówna, jako Jenny. Trochę treść roli i osóbki Jenny nie dorasta do wielkich możliwości tej aktorki. Więc też obsadę jej trzeba uważać za swego rodzaju krzywdę dla Romanówny. Zato nie krzywdowała sobie publiczność. Najmniej zaś krzywdy miała publiczność z winy Znicza. Każdem swem pojawieniem wywoływał salwy śmiechu i brawa przy otwartej widowni.

Z PIŚMIENNICTWA

W hołdzie Bogusławskiemu. Przed teatrem Narodowym w Warszawie wznoszony jest pomnik Wojciecha Bogusławskiego, który zyskał sobie epitet ojca teatru polskiego. Bogusławski był nietylko dyrektorem teatru, aktorem i wychowawcą nowego pokolenia aktorskiego, ale był również pisarzem dramatycznym. Największem powodzeniem cieszyła się grywana i dotąd sztuka patrjotyczna pt Krakowiacy i górale.

Rocznica Lelewelowska. 29 maja rb przypada siedemdziesiąt pięć lat od śmierci Joachima Lelewela — wielkiego historyka i polityka. Zmarł on po trzydziestu latach emigracji, w Paryżu, i dopiero przed paru laty przewieziono go do Wilna, które tak kochał, choć bynajmniej nie wywodził się z Kresów. Przez Cieciszowskich Lelewel był spokrewniony z Henrykiem Sienkiewiczem i dzieciństwo swe spędzał w tejże samej Woli Okrzejskiej, w której się potem urodził Sienkiewicz. W listach Lelewela z lat czterdziestych ubiegłego wieku są nawet zapytania o synów Stefanji z Cieciszowskich Sienkiewiczowej, a zatem i o przyszłego pisarza. Osobiście jednak Lelewel z Sienkiewiczem nie zetknęli się nigdy.

Zjazd bibljotekarzy i bibljofilów. W końcu maja odbędzie się w Warszawie zjazd bibljotekarzy i równocześnie zjazd bibljofilów. Z tej racji spodziewać się należy szeregu ciekawych wystaw, które dostarczą niejednej rozkoszy miłośnikowi książki i literatury. Pozatem uczestnicy zjazdu obdarowani zostaną specjalnemi wydawnictwami zjazdowemi, które zawsze są ostatniem słowem w zakresie techniki i estetyki druku. Warto dodać, że bibljotekarzami byli z zawodu nawet najznakomitsi pisarze. Tak np Stefan Żeromski był początkowo bibljotekarzem w Rapperswilu, a potem w Bibljotece Ordynacji Zamoyskich w Warszawie. Z tych czasów pozostała mu na całe życie troskliwość, przejawiająca się w porządkowaniu papierów osobistych metodami bibljotekarskiemi.

Stulecie Paska. Chluba i mistrz staropolskiej prozy — imć pan Jan Chryzostom Pasek, który przedstawia się nam jako świetny pisarz dzięki swym pamiętnikom, święcić może zaledwie stulecie swej sławy. Do r. 1836, kiedy to pamiętniki jego wydobył z rękopisu i ogłosił drukiem Edward hr. Raczyński, Pasek był nieznany zupełnie, bo ogłoszone przedtem w pismach fragmenty ukazały się całkiem anonimowo. Oczywiście, z chwilą ogłoszenia arcydzieła naszego pamiętnikarstwa historja literatury uległa pewnemu przeobrażeniu, i właściwie t. zw. historja literatury nigdy nie jest czemś stałem i zamkniętem. Pominąwszy to, że istnieje możność odnalezienia wysokowartościowych dzieł niedrukowanych, których współcześni nie znali, obraz przeszłości zależy w dużej mierze od tworzącego go badacza, a że temperamentów badaczy jest rozmaitość, stąd płynie tyle sprzecznych nawet sądów o przeszłości, choć badacze opierają się na tych samych dokumentach.

Parandowski na Olimpjadę! Powieść sportowa Jana Parandowskiego pt Dysk olimpijski została zgłoszona przez Polskę do międzynarodowego konkursu literackiego, odbywającego się w związku z Olimpjadą. Polska ma pod tym względem do zanotowania sukces Kazimierza Wierzyńskiego, który na Olimpjadzie w Amsterdamie zajął pierwsze miejsce swym Laurem olimpijskim; teraz — w Berlinie powieść Parandowskiego również powinna należeć do grupy utworów czołowych, bo poza walorami sportowemi Dysk olimpijski odznacza się wysoką klasą artystyczną, przejawiającą się w kunsztownej prostocie stylu. Oto dla przykładu opis zapasów olimpijskich: „Słońce ukryło się za wzgórzami, dolina nasiąkła barwą młodego wina. Od ołtarza Dzeusa padał cień, na którego granicy dwaj chłopcy walczyli jak duchy dnia i nocy. Wreszcie jeden z nich padł na kolana, z całego ciała tylko część ramion, po łokcie, była w świetle, tamten zaś pchnął go i ostatecznie powalił w mrok. Na jasnej części stadjonu, w szkarłatach zachodu, w pożarze okrzyków, pozostał Theognetos z Eginy, zwycięzca w zapasach chłopców." Rozmiłowany w starożytności greckiej, jest Parandowski daleki od ideałów katolicyzmu i dlatego szczególnie przykra jest jego nowa powieść — Niebo w płomieniach, drukowana w odcinku gazetowym. Drobiazgową jej ocenę zamieścił w paru numerach Przegląd Katolicki, gdzie nazwana została wręcz bluźnierczą.

Reymont po niemiecku. We Wrocławiu ukazała się w przekładzie na niemiecki powieść Władysława Stanisława Reymonta pt Nil desperandum, traktująca o czasach powstania kościuszkowskiego. Krytyka niemiecka przekład ten przyjęła przychylnie.

Powieść „uniwersytecka". Powieść Janusza Rabskiego pt Alma Mater — to powieść, malująca życie młodzieży na Uniwersytecie Warszawskim przed laty kilkunastu. Autor, który sam brał w tem życiu udział bardzo czynny jako prezes Bratniej Pomocy, przedstawia szereg uroczystości uniwersyteckich, choć więc artystycznie niewysoki jest poziom tej powieści, a styl miejscami nawet banalny, to dzięki momentom „reportażowym" powieść warta jest przeczytania. Wprawdzie czytelnik niewtajemniczony nie będzie miał tej uciechy, co przyjaciele autora, i nie będzie mógł zgadywać, pod którą postacią powieści kryje się jakaś osoba rzeczywista, to jednak odgadnięcie takich przejrzystych zagadek, jak „znakomity pisarz Stefan Nieromski o dużej, niezwykle charakterystycznej głowie" czy „zbierający zasłużone triumfy aktor Stefan Haracz", nie będzie przedstawiać trudności dla nikogo. Powieść Rabskiego jest bodaj pierwszą powieścią „uniwersytecką", której akcja rozgrywa się na tamtejszym terenie. W Braciach Władysława Jana Grabskiego na uniwersytecie rozgrywały się jedynie epizody.

J. CONRAD-KORZENIOWSKI: Książę Roman, opowieść. „Lektura szkolna" Nr. 2. Warszawa 1935 r. Dom Książki Polskiej.

Opowieść Konrada p. t. „Książę Roman", wydana po raz pierwszy w przekładzie polskim T. X. Sapieżyny w zbiorowym tomie p. t. „Opowieści zasłyszane", polecona przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego jako lektura obowiązująca dla uczniów III kl. gimnazjal-

nej. Chcąc udostępnić jej nabycie, wydawca dzieł Conrada, Dom Książki Polskiej, wydał „Księcia Romana” oddzielnie, w bibljoteczce p. t. „Lektura szkolna” za niską cenę 60 gr. Utwór poprzedza przedmowa znakomitego krytyka i pisarza angielskiego R. B. Cunnighame Grahama.

Skargowskie pokłosie. Na 400-letnią rocznicę urodzin ks. Piotra Skargi T. J. Zebrał ks. Teofil Bzowski T. J. Wyd. Chyrowskiego Koła Tow. P. Skargi. Chyrów-Konwikt. 1936 r. 110 str. 6 ilustr. Cena 1 zł 50 gr.

W lutym 1936 r. minęło 400 lat od urodzenia ks. Piotra Skargi, tego wielkiego wychowawcy, nauczyciela i miłośnika narodu, o którym Mickiewicz powiedział, że „w nim odbija się cały naród ze swoją przeszłością, obecnością i przyszłością nawet”.

A co wie przeciętny inteligent polski o Skardze? Więcej niż skromne są wiadomości nasze: z bogatej spuścizny Skargowskiej — coś niecoś o „Kazaniach Sejmowych”, mniej o „Żywotach świętych”, wiele traci na tem społeczeństwo polskie.

Dlaczego w areopagu naszych popularnych wielkości narodowych brak Skargi? Dlaczego niema Go w szeregu tych, którzy jak Mickiewicz, książę Józef, Kościuszko — zdobyli sobie serca szerokich rzesz inteligenckich. a nawet mas ludowych? Czy gra tu rolę znaczne oddalenie w czasie, trudności językowe, a może stan kapłański bohatera?

Dlaczego nie mówi się o beatyfikacji tego męża, który umarł w opinji świętości i nawet przez najsurowszych krytyków katolicyzmu nazywany jest świętym? A przecież wyniesienie Go na ołtarze niewątpliwie zbliżyłoby tego Sługę Bożego do dusz polskich z nieocenionym dla nich pożytkiem.

Obowiązkiem inteligencji katolickiej, tej inteligencji, dla której katolicyzm nie jest tylko czczym, pustym dźwiękiem, jest tę krzywdę naprawić. Propaganda kultu Skargi będzie nietylko zadośćuczynieniem za okazywaną mu dotychczas oziębłość, ale równocześnie czynem zasługi społecznej. On przewidział naszą klęskę i poniżenie, ale modlił się o zmartwychwstanie. Odzyskaliśmy niepodległość, mamy znów własną państwowość, ale czy wyzbyliśmy się tych wad, które On piętnował?

Oby 400-letnia rocznica urodzin posłużyła ku przypomnieniu, czem był Skarga dla narodu polskiego, aby iść za Jego nauką i drogowskazem. Doskonale dopomoże do tego „Skargowskie Pokłosie”, wydane bez pretensji naukowej”, jak mówi ks. Bzowski w przedmowie, a z celem praktycznym — rozbudził w społeczeństwie polskiem zamiłowanie ku Skardze. Cel ten osiągnie, o ile znajdzie się w ręku czytelnika.

Zaczyna od najstarszego świadectwa — mowy pogrzebowej znakomitego mówcy ks. Birkowskiego, dominikanina, który rzucił światło na życie Skargi, nigdy przez nikogo nieprzyćmione. Podaje Skargę w poezji Krakowski Pomnik — dr. Birkenmayera, bardzo aktualny, doskonały referat dr. Ap. Żukowskiego: „Kim jest, a kim być powinien Skarga dla inteligencji katolickiej”, daty z życia i dzieła ks. Skargi oraz bibljografję Skargowską i wiele innych przyczynków do życiorysu Skargi.

Miła szata zewnętrzna wydawnictwa z rzeźbą Sosnowskiego i nagrobkiem w Krakowie na okładce, przy niskiej cenie. zachęca do zapoznania się z bogatą treścią Skargowskiego Pokłosia.

Wzbudźmy Skargę. Tolle et lege — bierz i czytaj. R. B.

Z. SZYMANOWSKA: Opowieść o naszym domu. Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa. Str. 144. Zł 3.80.

„Opowieść o naszym domu” opisuje życie rodziny kompozytora Karola Szymanowskiego, w dalekim zakątku Ukrainy, w rodowym ich majątku, Tymoszówce.

Pogodna ta opowieść jest pasmem wspomnień autorki, siostry kompozytora, od jej wczesnego dzieciństwa do wyjazdu Szymanowskich, w epoce bolszewizmu z ukochanej Tymoszówki. Przewijają się tam, w świetnie literacko i kolorystycznie ujętych szczegółach, postacie mieszkańców i gości starego dworu.

Książka jest szczera, pełna prostoty i słońca. Cechuje ją rzetelność środków technicznych i pozbawiona sentymentalizmu oszczędność słów, które jednak swym znakomitym doborem wywołać potrafią przejmujący nastrój. Pominięty w niej jest celowo dramat rewolucji, który stanowi nieodzowną, jakże nieraz już banalną, treść wspomnień kresowych. Poprzez rozdziały książki przewija się żywa i głęboko odczuta postać Karola Szymanowskiego, postać młodzieńca, urokiem tajemniczym owiana a jednocześnie jakże prosta, jak bardzo bliska i ludzka. Jak głęboka, twórcza tajemnica kryje się w jego milczącej samotności, gdy spędza długie godziny w swej małej „kompozytorni”. Jak mistrzowsko oddana jest przez autorkę cenna noc natchnienia, w której w głębokiej ciszy „porozumienia z Bogiem” rodzi się III symfonja. Wielką zaletą tej książki jest niezrównane piękno języka. Melodyjność słowa i wrodzone autorce poczucie rytmu sprawia, iż tę prostą, pełną wdzięku opowieść czyta się jak doskonałą poezję. Książka jest nieprzeciętna i naprawdę godna przeczytania.

JÓZEF PIŁSUDSKI: Mała Ulina. (Bibl. Polska i Świat Współczesny).

W wydawanej przez Gebethnera i Wolffa pięknej i pożytecznej bibljotece młodzieży „Polska i świat współczesny” ukazał się jako tomik Nr. 35 szkic Józefa Piłsudskiego p. t. „Ulina Mała”, jeden z trzech fragmentów „Moich pierwszych bojów”.

Ulina Mała. Nazwa tej zapadłej wioszczyny wiele nam dzisiaj mówi. Ulina Mała, to jeden, niewielki zresztą etap w bogatej karjerze Piłsudskiego jako dowódcy, niewielki lecz do pewnego stopnia przełomowy. Fragment zatytułowany „Ulina Mała” jest krótką historją genjalnego odwrotu, dokonanego w warunkach zaiste zdumiewających.

W listopadzie 1914 r. armja austrjacka cofała się w popłochu przed następującymi jej na pięty Rosjanami, spod Dęblina na Kielce. Pięć bataljonów strzelców pod dowództwem Piłsudskiego postępowały w arjergardzie. Pragnąc powierzone sobie zaczątki wojska polskiego ocalić, Piłsudski decyduje się na ryzykowny marsz na Kraków. I prawie że zawadzając o przednie szeregi Rosjan, w cudowny sposób przeprowadza z Wolbromia przez Ulinę Małą w całości chłopców swych do Krakowa.

Marsz przez Ulinę Małą „ma — jak pisze w doskonałej przedmowie do tomiku mjr. W. Lipiński — swoje wielkie, historyczne znaczenie... Piłsudski, decydując się na podjęcie marszu przez Ulinę Małą do Krakowa, musiał wydobyć z duszy swojej decyzję niezmiernie ciężką, przesądzającą w razie niepomyślnego jego przebiegu, o losie istnieniu polskiego żołnierza”.

„Ulina Mała”, szkic rozmiarami stosunkowo niewielki, opis dramatycznego przemknięcia się oddziału, daje czytelnikowi niezmiernie dużo. Poza faktycznym materjałem, niezbędnym dla historyka tych czasów, zawiera bogatą autoobserwację, cenne spostrzeżenia do psychologji żołnierza i dowódcy... „Umiejętność zuchwałej decyzji — pisze mjr. Lipiński — spokój i zimna krew przy jej realizacji, chłodne obliczenie możliwości w położeniu nieznanem i pełnem tajemnic, cechy jakie są koniecznym warunkiem duszy Wodza — wykazuje Piłsudski w tych ciężkich godzinach marszu na Ulinę Małą, wzniecając w duszach żołnierskich jeszcze większe zaufanie, jeszcze większą miłość, jeszcze większą wiarę w szczęśliwą gwiazdę komendanta”.

DR. J. ŚMIAROWSKA: Higjena młodej dziewczyny (z 3 rycinami). Warszawa, 1933. Dom Książki Polskiej, S. A. Cena zł 1,80.

Ogólnie już dziś uznanym faktem jest, że zdrowie narodu jest jego największem bogactwem. Od początku do skończenia świata obowiązującą prawdą jest zależność zdrowia dzieci, czyli przyszłych pokoleń, od zdrowia przedewszystkiem ich matek. Najnowszą zdobyczą nauki zaś jest zapobieganie chorobom i pielęgnowanie zdrowia przez higjenę.

W zupełności dostosowaną jest do tych faktów, prawd i zadań powyższa książeczka, której główną zaletą jest nadzwyczajna zwięzłość. Na 75-ciu stroniczkach szesnastkowych przedstawiła nam bowiem w piśmiennictwie szeroko znana autorka wszystko, co dotyczy zdrowia młodej dziewczyny, a więc jej rozwój fizyczny i duchowy w okresie dojrzewania wraz z jego nieprawidłowościami oraz sposoby, jak im zapobiegać należy. Uwzględniono również stronę moralną, od której w tak wielkim stopniu zależne jest zdrowie fizyczne, oraz porady przedślubne, które obejmują również stronę materjalną małżeństwa i rodzenia dzieci.

Na dobrym papierze i estetycznie wydana książeczka powinna zatem znaleźć się w rękach wszystkich inteligentniejszych matek, mających córki, i polecana być młodym dziewczynom przez wszystkich, którzy w ich wychowaniu mają coś do powiedzenia.

Dr. med. Franciszek Ksawery Cieszyński.

Kronika bohaterstwa.

Wspomnienia z wojny polsko-bolszewickiej, zawarte w książce kpt. Mieczysława B. Lepeckiego p. t. „W blaskach wojny” (wydawn. Książnica-Atlas) można by śmiało zaopatrzyć subtytułem: Kronika bohaterstwa. W owych czasach, o których pisze, był kpt. Lepecki najpierw podoficerem, a potem podporucznikiem. W wielkich wydarzeniach historycznych, które utrwaliły naszą niepodległość, brał udział, jako szary żołnierz, bez pretensyj i wygórowanych ambicyj. Opowiada więc w swej książce o sprawach wielkich dni od strony „dołu”. Zwycięstwa, sukcesy i klęski widzi oczami człowieka z tłumu żołnierzy, dla których wojna, jak sam pisze, „nie była polem popisów, lub drogą zaszczytów, lecz twardą, pełną znojów i trudów służbą”.

Styl prosty, wielka skromność i brak przesady sprawia, że książka Lepeckiego stanowi pierwszorzędną pozycję w naszej literaturze pamiętnikowej. Niewątpliwie zdanie to podzielił gen. Edward Rydz-Śmigły, zaszczycając je pochlebną przedmową.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Mało zważaj na to, kto jest za tobą, albo przeciw tobie; lecz tak czyń i o to się staraj, aby Bóg był z tobą we wszystkiem co czynisz.

Miej dobre sumienie, a Bóg będzie obrońcą twoim.

A kogo Bóg wspierać zechce, temu złość ludzka zaszkodzić nie zdoła.

Jeśli umiesz milczeć i cierpieć, bezwątpienia ujrzysz pomoc Bożą.

On zna najlepiej czas i sposób wyzwolenia twego i dlatego powinieneś zupełnie zdać się na Boga.

Boża to rzecz jest, wspierać i wyzwalać od wszelkiego smutku i zawstydzenia.

Często, bardzo to służy do nadania nam większej pokory, że inni znają i wytykają wady nasze.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Tomasz à Kempis

W SŁOŃCE, W PRZESTRZEŃ!

Żyjemy takiem przyśpieszonem tempem, które objęło cały świat, że musimy ciągle baczyć, aby w psychice naszej utrzymać równowagę, aby nie szarpać nerwów, aby ciszą wewnętrzną tłumić ten wielki hałas, który ogarnął dziś ludzkość całą.

Jakiż to środek błogosławiony może stłumić wieści, które nam co ranek przychodzą z różnych stron świata i niemal co ranek karmią niepokojem?

Natura. Dzieło Boże. Słońce. Wielka przestrzeń ziemi. Kopuła rozpiętych nad nią niebiosów. — Cisza, a choćby i grom i burza i ulewa — ale to wszystko piękne, olbrzymie w swej nieskalanej czystości, poczęciu i wielkiej łaski Stwórcy, Pana nad pany, który nam to ofiarował, aby dusze koić — aby być lekiem na zapamiętanie się człowieka w egoizmie, w gonitwie za zdobyczą materjalną, w tej przeolbrzymiej zatracie cnót wielkodusznych, w wyścigu pychy, na które co dnia patrzy świat zdumiony i pewno dlatego aż oniemiały, przerażony i bezbronny i bezradny.

Toteż — warto odmówić sobie wszystkiego, aby znaleźć grosz na wycieczkę: w pole, w las, na łąkę, nad jezioro, nad morze, czy na jeziora i na morze, w góry, słowem wszędzie, gdzie mniej budowy ludzkiej, mniej teatru, kina, radja, zgiełku, wrzawy, stroju, ale gdzie na każdym kroku tyle Bożego dzieła, że ani się spostrzeżesz jak zgaśnie w duszy lęk o jutro ludzkości całej, a zapali się w niej światło wiary w to — co Nieśmiertelne i co napełni serce ciszą, spokojem i równowagą, bo cię zrówna choć na chwilę z nieskończoną i niewyczerpaną nigdy — twórczą pracą Boga.

Kraj nasz taki piękny! Tyle w nim cudów przyrody, tyle nieznanych czarów.

Łańcuchy Tatr, z ich tajemnicami w skalnych złogach. Lasy i puszcze Białowieży. Wody jezior Narocza, Wigrów i całe szeregi błękitnych oczu jezior w Kartuzach. A Bałtyk, a Gdynia, Hel, Orłowo, Jastarnia!

A wartki Prut, cudne Jaremcze, Worochta, Zaleszczyki! — A choćby nasza biedna, bo nieuregulowana, ale droga nam Wisła z wstępem do Płocka, Sandomierza, Włocławka, Torunia aż do samego Gdańska nas prowadząca.

Wszystko to widzieć trzeba, poznać należy, i chłonąć całą piersią wrażenia, jakie się odbiera w błogosławionych chwilach bratania się z naturą.

Tem więcej, że: „Liga Popierania Turystyki" wraz z „Ligą Morską i Kolonjalną" niebywale nam to ułatwiają, organizując wspólne wycieczki, dla których Ministerstwo Komunikacji robi olbrzymie zniżki cen.

Wycieczki zbiorowe są różnych typów. Lądem i wodą. Wycieczki dla młodzieży i dla starszych. Wycieczki w kraju i zagraniczne. Obozy na Helu i nad jeziorem Żarnowieckim. Wszędzie zapewniona dobra organizacja i opieka,

Zniżki kolejowe w stosunku do liczby biorących udział w wycieczce, sięgają 75%. Wszystkie szczegóły otrzymać można w Zarządzie Głównym Ligi M. i Kolonjalnej przy ulicy Widok 10, żądając listownie na prowincję „Okólnika" Nr. 6/36 z dn. 21 kwietnia 1936 r., w którym są zawarte wszelkie informacje szczegółowe.

Nie wątpimy, że wśród licznych naszych Czytelników znajdzie się wielu zwolenników szukania wśród natury nabrania sił i energji do zwalczania wszelkich trudności, jakich nam nie skąpi chwila obecna.

W słońce, w przestrzeń bodaj na kilka dni, jeśli nie można na dłużej, aby nasycić oko i napełnić duszę dziełem większem nad wszelkie ludzkie wysiłki — w którem Królestwo jest Boże.

L. Kotarbińska.

DOM I ZDROWIE

W szeregu wykładów zapoczątkowanych przez Instytut Gospodarstwa Domowego w Polskiem Towarzystwie Higjenicznem odbył się w sali Polskiego Tow. Higjenicznego odczyt dr. Eleonory Reicher, docenta Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego, p. t.: „Najczęstsze choroby kobiet, pracujących przy gospodarstwie domowem".

W pierwszej części wykładu prelegentka zwróciła uwagę na to, że praca ludzka nie powinna stawać się ciężarem nad siły, lecz powinna być źródłem radości. W dzisiejszych niespokojnych czasach wszystkie rodzaje pracy więcej jeszcze niż dawniej, zużywają siły psychiczne, umysłowe i fizyczne człowieka, toteż problem wypoczynku stał się również ważny jak sam problem pracy.

Takiem miejscem wypoczynku po pracy jest dobrze zorganizowany dom rodzinny.

Jest jednak kategorja osób, dla których dom rodzinny jest także warsztatem całodziennej pracy, jest nim dla kobiet stale zatrudnionych przy gospodarstwie domo-

wem. Na ich barkach spoczywa właściwie ciężar pracy koniecznej dla utrzymania życia rodzinnego, praca ich innym ma zapewnić konieczny wypoczynek. Praca ta jest niezmiernie ważna społecznie, gdyż jaka będzie praca pracownic domowych, taki będzie dom.

Specjalnie trudne warunki pracy mają kobiety, łączące pracę domową z pracą zarobkową poza domem.

W drugiej części wykładu prelegentka omówiła warunki pracy, oraz najczęstsze choroby pracownic domowych. Szczególnie niekorzystne jest źle zorganizowane życie domowe, a więc niejednolity program dnia członków rodziny, konieczność wielokrotnego przyrządzania potraw dla osób spożywających je nie o tych samych godzinach, długie przesiadywanie w nocy, a następnie nieustalona liczba godzin pracy, niewystarczający wypoczynek i konieczność stałego napięcia uwagi, wszystko to, zwłaszcza przy braku należytego przygotowania fachowego i niewspółmiernie dużym nieraz wysiłku pamięci i myśli w połączeniu z pracą fizyczną, wywołuje znaczne wzmożenie pobudliwości nerwowej. Jest to jedno z najczęstszych niedomagań pracownic domowych. Na tle zaburzeń wywołanych nadmierną pobudliwością układu nerwowego powstają dolegliwości inne, jak: bezsenność, bóle głowy, zmęczenie, brak apetytu, a następnie spadek wagi ciała, zły wygląd, zaburzenia żołądkowo-jelitowe, zaś szczególnie często nerwicę serca i nerwicę żołądka.

Prócz tego czynnikami niekorzystnie wpływającemi na zdrowie pracownic domowych są:

1) szybkie zmiany temperatury, sprzyjające występowaniu chorób zaziębienia;
2) nieregularne odżywianie, spożywanie naprędce często potraw zimnych;
3) zużycie stawów przy pracy (spłaszczenie stopy) i na tym tle powstające często choroby reumatyczne (wśród chorych reumatycznych 75% przypada na kobiety);
4) zaburzenia krążenia krwi w kończynach dolnych, wywołane pracą stojącą, które powodują rozszerzenie żył w nogach (żylaki).

Omówiona powyżej grupa cierpień, nie będąc ściśle zawodowemi, gdyż występuje także u ludzi czynnych w innych zawodach, szczególnie często trafia się u pracownic domowych.

Zapobieganie tym cierpieniom nie przedstawia nawet w naszych warunkach nieprzezwyciężonych trudności.

Do pierwszorzędnych czynników zapobiegawczych należy:

1) wyszkolenie pracownic domowych tak, aby praca nietylko nie przerastała ich sił fizycznych, ale i zrozumienia umysłowego;

2) pouczenie pracownic domowych o chorobach, mogących wyniknąć z nieumiejętnie wykonywanej pracy domowej;

3) uregulowanie życia domowego i zależnej od tego pracy gospodarskiej.

Drogą zapobiegawczą da się może poprawić stan zdrowotny osób, pracujących przy warsztacie gospodarstwa domowego, co jest tak ważne nietylko dla nich samych, ale i dla normalnego biegu życia i pracy domu rodzinnego.

Wielce cenne wskazania p. dr. El. Reicher winny być objęte programem każdej kobiety, szczególnie właśnie stojącej na czele domu rodzinnego. Prawda, że często najpożyteczniejsza teorja, nie obejmuje rzeczywistości. Że skomplikowane warunki życia bywają wogóle, a cóż dopiero dziś, kiedy atmosfera spraw całego świata rujnuje wewnętrzny spokój i wytrąca najsilniejsze organizmy z równowagi. Niemniej, utrzymanie w ryzach stanu nerwowego, strzeżenie pilne chwil wypoczynku winny być przykazaniem moralnem, wogóle dla każdego, a tem bardziej dla kobiety stojącej na czele rodziny. *R.*

KOMUNIKAT INSTYTUTU GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W sali Polskiego Towarzystwa Higjenicznego dr. Emil Paluch wygłosił odczyt p. t. „Jak się odżywia ludność robotnicza Polski, a jak się odżywiać powinna?”

— Poprawa odżywiania ludności robotniczej — mówił prelegent — jest jednym z najważniejszych postulatów ochrony zdrowia i sił tej najbardziej liczebnej i produktywnej warstwy społecznej. Wypracowanie racjonalnego planu walki z niedożywieniem wymaga jednak wpierw dokładnego poznania istniejących błędów w odżywianiu ludności robotniczej.

Skreśliwszy na podstawie istniejących źródeł naukowych sposób odżywiania się rodzin robotniczych w czasach normalnych i w okresie kryzysu, doszedł prelegent do wniosku, że pierwszą przyczyną złego odżywiania się ludności robotniczej jest brak pieniędzy. Stwierdzenie tego faktu — mówił dr. Paluch — nie uwalnia nas jednak od obowiązku poszukiwania innych przyczyn bardziej dostępnych, niż nędza ludzka, naszemu oddziaływaniu.

Biorąc praktycznie, nasuwa się przedewszystkiem konieczność uświadamiania i propagandy, wśród gospodyń robotniczych, zasad racjonalnego i oszczędnego układania budżetu spożywczego. Wartość odżywcza artykułów spożywczych nie idzie bowiem w parze z ich ceną. Należy zwiększyć spożycie tanich a wartościowych artykułów, jak mleko, ser, tłuszcze roślinne, a przedewszystkiem jarzyny, będące źródłem soli mineralnych i witamin.

Dzieci i młodzież robotnicza najwięcej cierpią wskutek złego jakościowo odżywiania. Wymaga to czynnej interwencji społeczeństwa, która powinna się wyrazić bądź to w postaci dożywiania, bądź też rozdawnictwa tranu i preparatów witaminowych. Na pomoc, choć w innej formie, zasługują również pracujący poza domem członkowie rodzin robotniczych, którym należy stworzyć możność nabycia taniego i dobrego posiłku na terenie pracy w jadłodajniach fabrycznych.

W zimie i na przednówku występuje pogorszenie się odżywiania rodzin robotniczych. Mogłaby temu choćby w części przeciwdziałać pomoc finansowa w gromadzeniu tanich zapasów produktów roślinnych na zimę, akcja ogródków działkowych i szerzenie wiadomości o sposobach konserwacji artykułów spożywczych.

W okresie kryzysu dał się zauważyć katastrofalny upadek odżywiania mas robotniczych. Pomoc społeczna dla tych ludzi w formie dożywiania jest koniecznością. Powinna ona uwzględnić nietylko ilościowy brak pożywienia; lecz także niemniej groźne w skutkach niedobory jakościowe.

Wkońcu zwrócił prelegent uwagę, że sposób żywienia się ludności jest zdeterminowany charakterem produkcji rolniczej. Polityka gospodarczo-rolna — mówił prelegent — nie może zapominać o swej podstawowej funkcji, którą jest żywienie narodu.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Związek Pań Domu, jak zwykle czynny, ani na chwilę nie spuszcza z oka — naszych potrzeb. Poradnia jest otwarta dla wszystkich i żadna dziedzina nie jest jej obcą. Zainteresowanych przyjmuje: w poniedziałki, środy, piątki od godz. 12 do 14.

Związek Izb Rzemieślniczych po objaśnieniach, zaczerpniętych w Minist. Przemysłu i Handlu stwierdza, że niema przeszkód prawnych, do wydawania kobietom kart rzemieślniczych na wykonanie rzeźnictwa.

P. Marja Niklewiczowa redaguje pismo pod nazwą: „Młody Polak", wydawane przez Stow. chrześc.-narodowe nauczycielstwa szkół powszechnych.

P. Emilja Grocholska wydaje dwumiesięcznik w językach francuskim i angielskim pod tytułem: „La Jeunne Polonaise", informując zagranicę o działalności kobiet w Polsce.

P. Ostrowicka-Skotnicowa z Zakopanego, na wezwanie do wspólnej pracy Polek i Czeszek, otrzymała odpowiedzi bardzo przychylne, zamieszczone w „Czeske-Slowo", piśmie wychodzącem w Morawskiej Ostrawie. Pismo „Pozor", wychodzące w Ołomuńcu, bardzo życzliwie wita tę ideę, o czem pisze p. Smolarzowa-Czaplowa.

Katolickie Stow. Kobiet w Wilnie prowadzi Poradnię wychowawczą. Kierowniczką jest p. Adela Stefanowicz.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba, wobec coraz bardziej ożywionych stosunków naszych z Ameryką — że listy nasze w przeciągu trzech dni znajdować się mogą na drugiej półkuli.

A oto dlatego, że: poczta niemiecka porozumiała się z naszem Min. Poczt i Telegrafów w sprawie przewozu poczty nowym sterowcem niemieckim „Hindenburgiem". Sterowiec odbywać będzie loty do Ameryki Północnej. Czas przelotu z Europy do Stanów Zjednoczonych potrwa około trzech dni. Wszystkie urzędy pocztowe w Polsce przyjmować będą do przewozu sterowcem „Hindenburgiem": listy, karty pocztowe, druki i próbki towarów, adresowane do Ameryki Północnej, Kanady, Meksyku, Kolumbji i Venezueli.

Za przewóz listów do Nowego Jorku, poza zwykłą opłatą pocztową, pobierana będzie dopłata w wysokości 1 zł. 90 gr. za każde 5 gramów i za kartki po 1 zł. 60 gr. Dla filatelistów sterowiec zawiezie listy i karty do Ameryki, które następnie wrócą zwykłą drogą pocztową do nadawców.

Każda wiedzieć sama powinna i objaśniać innych z obowiązku o tem, co powiedział i ogłosił J. E. Ks. Biskup Stanisław Wojciech Okoniewski w Pelplinie, w dniu 15 kwietnia b. r., a mianowicie, że:

„Akcja Katolicka jest czynnikiem wyłącznie religijnym i apolitycznym, dlatego jakiekolwiek wciąganie jej w wir stronnictw politycznych nie godzi się z jej charakterem i zasługuje na jaknajenergiczniejsze potępienie".

Wiedzieć powinny wszystkie matki, że wycieczki organizowane przez Ligę Morską i Kolonjalną, gwarantują dla młodzieży doskonale dobraną opiekę i że są projektowane całe szeregi różnorodnych wycieczek przez całe lato. Ceny niezmiernie przystępne. A wypoczynek na morzu, czy nad morzem — doskonały i dla ciała i dla duszy. Niech poznają morze, aby je całem sercem uczyły się — miłować.

Wiedzieć należy, że „Liga Obrony Twórczości i Pracy Polskiej" znalazła siedzibę w przepięknym gmachu Domu Katolickiego im. Piusa XI przy ulicy Nowogrodzkiej 49. Popierać też trzeba placówkę, która przyczyni się do zbytu dzieł twórczości i pracy polskiej, oraz przemysłu ludowego, realizując jednocześnie cele Ligi.

Wiedzieć koniecznie trzeba, że od dnia 1 maja weszły w życie 33% zniżki dla powracających z letnisk nadmorskich do miejsc stałego zamieszkania, po conajmniej 14-dniowym pobycie w letnisku. Tegoż dnia weszła również w życie 33%-towa zniżka kolejowa dla uzdrowisk sezonowych w liczbie około 30, oraz dla uzdrowisk otwartych przez cały rok w liczbie około 20.

Jako uzasadnienie przejazdu ulgowego, w dowolnej klasie pociągów osobowych i pospiesznych — służy zaświadczenie, wydane przez zarządy uzdrowisk.

Ulgą objęte są wyłącznie uzdrowiska, uznane przez ustawę uzdrowiskową. Wystąpienia o pogłębienie ulgi lub rozszerzenie obszaru jej ważności na ogół letnisk nie są uwzględnione.

Zniżki kolejowe przeznaczone dla letnisk nadmorskich: Bór, st. kol. Jastarnia; Cetniewo, st. kol. Wielka Wieś Hallerowo; Chałupy, Dębki, st. kol. Krokowa; Gdynia, Hel, Jasne Wybrzeże, st. kol. Wielka Wieś Hallerowo; Jastarnia, Jastrzębia Góra, st. kol. Łebcz lub Wielka Wieś Hallerowo; Jurata, Karwia, st. kol. Krokowa lub Wielka wieś Hallerowo; Karwieńskie Błota, st. kol. Krokowa lub Wielka Wieś Hallerowo; Kuźnica, Lisi Jar, st. kol. Wielka Wieś Hallerowo; Orłowo Morskie, st. kol. Kolibki Orłowo, Ostrowo, st. kol. Wielka Wieś Hallerowo; Puck, Rożewie, st. kol. Wielka Wieś Hallerowo; Swarzewo, Tupadły, st. kol. Wielka Wieś Hallerowo; Wielka Wieś Hallerowo, Wielka Wieś.

Ponadto przyznano zniżki kolejowe dla uzdrowisk całorocznych: Czarniecka Góra, Druskieniki, Horyniec-Zdrój, Inowrocław, Iwonicz, Jaremcze, Jaworze, st. kol. Jaworze Jasienica, Krynica, Nałęczów, Otwock, Rabka, st. kol. Chabówka, Rabka Zdrój lub Rabka Zaryte, Rudka, st. kol. Mrozy, Szczawnica, st. kol. Stary Sącz, lub Nowy Targ, Truskawiec Zdrój, Wisła, st. kol. Wisła lub Głębce, Worochta, Zakopane z Bukowiną, Jaszczurówką i Poroninem, st. kol. Poronin i Zakopane, Żegiestów Zdrój, st. kol. Żegiestów i Żegiestów Zdrój.

Zniżki przyznano również dla uzdrowisk sezonowych: Busko, st. kol. Kielce lub Szczuczyn, Bystra, st. kol. Bystra-Witkowice, Ciechocinek, Delatyn, Goczałkowice Zdrój, Hrebenów, Jastrzębie Zdrój, Kosów, st. kol. Kołomyja, Krościenko n. D., st. kol. Stary Sącz lub Nowy Targ, Krzeszowice, Kuty, st. kol. Kuty lub Kołomyja, Lubień Wielki, Miłowody, st. kol. Oborniki, Morszyn Zdrój, Muszyna.

Wiedzieć pożytecznie, że przy ulicy Pierackiego 18 w Warszawie tel. 6-24-45 mieści się Biuro Pośrednictwa Pracy, które, nie żądając żadnych opłat, dostarcza: posługaczki, pokojowe, kucharki, praczki, bony, szwaczki, trykotarki, hafciarki i t. p.

Wiedzieć trzeba, że istnieje przy ulicy Wolność Nr. 14 dom noclegowy, dla młodzieży od lat 14 do 20. Twórcom jego chodziło o to, aby chłopcy ci, bezdomni, nie byli zmuszeni sypiać razem z dorosłymi w przytułkach czy to na Jagiellońskiej, czy na Dzikiej (cyrku), gdzie nocuje dużo elementów zepsutych, aby więc uchronić tę młodzież od złego wpływu, od ewentualnych gorszących scen, kłótni, pijaństwa i t. d. Bliższe informacje pod powyżej wskazanym adresem.

Wiedzieć trzeba i pamiętać o tem na każdym kroku, że małemi składkami budują się wielkie gmachy. Oto, tramwajarze warszawscy własnemi siłami zbiorowemi, ufundowali dwa samoloty, które przekazali Aeroklubom warszawskiemu i gdańskiemu. Stworzyli fundusz ku uczczeniu pamięci ś. p. Żwirki i Wigury i oto już latają w przestrzeni, płosząc ptactwo, ale świecąc napisami, umieszczonemi na maskach silników: „Tramwajarz Warszawski Nr. I" i „Tramwajarz Warszawski Nr. II". Przykład godny naśladowania.

PRAKTYCZNE FARTUCHY I FARTUSZKI



Każda z pań wie, jak ważny dodatek do gospodarstwa domowego stanowi fartuszek. Ochrania on suknie i sukienki. W dzisiejszych kryzysowych czasach, niemal każda z pań musi przyłożyć rękę do gospodarstwa i pomóc służącej, albo pomocnicy, która tylko na kilka godzin przychodzi. Suknie trzeba oszczędzać — niezawsze czas pozwala na kilkakrotną ich zmianę w ciągu dnia — daleko mniej czasu zabiera nałożenie fartucha zakrywającego suknię.

Dla dzieci różnorodność fartuszków jest ogromna. Noszą małe, duże, z cienkich materjałów i płótna — zależnem to jest od rodzaju sukni i od pory dnia.

Służąca, prócz wielkiego fartucha przy sprzątaniu i gotowaniu, powinna też posiadać mały, zgrabny fartuszek do służenia przy stole. Ładnie i elegancko wygląda jednakowa całość — fartuszek, kołnierzyk, mankiety i strój głowy z jednego materjału i jednakowo przybrane. Obowiązuje wtedy czarna lub ciemna sukienka.

Ważnym jest jeszcze jeden rodzaj fartucha, który powinien się znajdować w każdym domu, szczególniej tam, gdzie są dzieci. Jest to fartuch dla doktora i pielęgniarki. Fason jego i krój jest tego rodzaju, że każden może go włożyć. Chodzi o to, żeby był luźny, ruchów nie krępował i był szczelnie zapięty. Przy dzisiejszem dbaniu o higjenę zwyczaj ten może odegrać ważną rolę przy chorych i przypuszczamy, że każdy doktór wdzięczny będzie, gdy mu pani domu ofiaruje czysty fartuch przed udaniem się do chorego.

Wszystkie te rodzaje fartuchów i fartuszków dajemy paniom dzisiaj.

Jest fartuch dla pani domu, zasłaniający suknię, w pasie spięty paskiem, żeby nie przeszkadzał przy pochylaniu się. Materjał nie gra roli, może być gładki, w paski lub w kwiaty.

Fartuch dla pielęgniarki powinien być uszyty z białego perkalu lub płótna, swobodny, z kołnierzykiem spiętym pod szyją, długiemi rękawami i dużemi kieszeniami, żeby w pośpiechu niejedno móc do nich włożyć. Dla dopełnienia całości dajemy czapeczkę.

Dziewczynki mają modele dwóch fartuszków. Jeden strojny z batystu z kwiatowym rzucikiem, obwiedziony gładkim batystem, drugi, zakrywający prawie całą sukienkę, wiązany z tyłu, wymaga gładkiego, nieprzezroczystego materjału.

Dajemy też całość ubrania dla służącej, ozdobioną haftem. Ząbki trzeba obdziergać, kwadraciki i kropki wyhaftować atłaskiem, a paseczki wymereszkować. *El. Kotwicz-Onichimowska.*



Znaczny wzrost oszczędności w P. K. O. w I kwartale 1936 roku. Według ostatnich danych ogłoszonych w „Wiadomościach Statystycznych" w pierwszym kwartale r. b. suma wkładów oszczędnościowych w P. K. O. wzrosła o prawie 10 miljonów złotych do łącznej sumy 689 miljonów złotych.

Liczba książeczek oszczędnościowych P. K. O. w tym samym czasie wykazuje wzrost o 124.000 nowych książeczek do ogólnej liczby 2.016.000 książeczek.

W dziale Ubezpieczeń na życie P. K. O. liczba polis wzrosła do 120.463, a suma ubezpieczeń o dalsze prawie 3 miljony złotych do ogólnej kwoty 181 miljonów złotych.

WYSZYCIA KASZUBSKIE





Powracamy znów do haftów wyszywanych na bieliźnie i czepcach kobiet kaszubskich, gdyż są one bardzo miłe w rysunku i w barwach.

W wyszyciach tych wybijają się na pierwszy plan kwiaty zwane „słonyszkami", gdyż środki tych kwiatów bywają złote, lub zrobione z pajączków szydełkowych, białych lub szarych.

Ulubionym kolorem Kaszubów jest niebieski i zbliżony do bławatu, lecz nieco przyćmiony.

Pozatem dominuje barwa czerwona w motywach, z których rozrasta się wzór, uzupełnienie zaś stanowią kolory czarny i żółty, używane do haftowania kropek i wąsików. Liście i gałązki wyszyte bywają bawełną zieloną lub mchową.

Najczęściej używany jest ścieg płaski, do wykończenia zaś wzoru służą łańcuszek, ścieg pocztowy, cerowany i siatka z krzyżykami.

W sezonie letnim są bardzo praktyczne suknie domowe z szarego płótna, które ma tę wielką zaletę, że jest doskonałym izolatorem, w gorącu chłodzi, a w zimnie zatrzymuje własne ciepło.

Ażeby jednak rozjaśnić monotonję szarej barwy, można ozdobić suknię, rzucając tu i owdzie barwny szlaczek lub pojedyńczy motyw. Podajemy na rysunku dwa wzory: szlaczek na kołnierzyk i mankiety do sukni, otoczenie wycięcia domowego fartucha, ochraniającego całą suknię.

Motyw z narożnikiem wyszyjmy na kieszonkach lub rożkach wyłożonego kołnierzyka, a całość będzie bardzo sympatyczna.

Dla orjentacji podaję rozmieszczenie barw na wzorze, a zarazem numery kolorów według tabeli firmy C + B.

Proszę żądać w sklepach bawełniczki podług numeracji „Perlé brillanté":

1) niebieski Nr. 559 do płatków kwiatowych;
2) czerwony Nr. 127 na kropki i pączki;
3) żółty Nr. 130 na wąsiki;
4) zielony Nr. 508 na liście i gałązki.

W motywie narożnym widzimy koło wypełnione rzadką kratą z krzyżykami. Ponieważ obramowanie tego koła wykonano niebieską bawełną, dajmy kratę ze złotej nitki, przypiętą czerwonemi krzyżykami.

Złoto do tego celu najlepiej nabyć w sklepach z maszynami do szycia lub w pracowni haftów kościelnych, gdyż powinno być w dobrym gatunku, ażeby w gotowaniu i praniu nie straciło swego połysku i piękności. *Marja Stefkowa.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Wandzie M. w Olkuszu. Proszę Pani, teraz niema nic niemożliwego w dziedzinie techniki. Bo jeśli dowiadujemy się, że gdzieś, na szerokich wodach morza — w łodzi podwodnej, pogrążonej na głębokości 30 m, w komorze torpedowej arcybiskup, Tarentu, odprawiał Mszę św., oddając hołd żołnierzom włoskim, poległym w Abisynji, to dlaczegożby nie można odbyć o wiele łatwiejszej i bezpieczniejszej pielgrzymki pieszej do Ołtarza Matki Boskiej Ostrobramskiej. Oczywiście, sama Pani nie pójdzie, ale w dobranym zespole, nietylko nie uważamy tego za „lekkomyślność", ale szczerze żałować będziemy, że nie weźmiemy udziału w tym pięknym pochodzie. Więc szczęśliwej drogi życzymy, bo wrażenia będą podniosłe i krzepiące duszę, a Wilno — jedno z najpiękniejszych miast naszych warto także zwiedzić, żeby je więcej pokochać, poznając zbliska jego uroki.

Pani Marji Krz... w Piotrkowie. Polecić możemy pensjonat zapewniający doskonały wypoczynek, na co składa się piękne położenie, komfort domu, kuchnia na żądanie dietetyczna, o co właściwie, o ile z listu sądzić możemy, bardzo Sz. Pani chodzi. Adres: Burzec, poczta, telegr. st. kolejowa i tel. — Krzywda, pow. łukowski. O ile Pani będzie w Warszawie, to telefon dla bliższych informacyj jest: 652-25, Smolna 36 m. 11, albo Rokotów-Dwór, dwa kilometry od stacji Sochaczew. Dojazd końmi na żądanie ze dworu lub zawsze na stacji za cenę najwyżej 2 zł. Wszelkie wygody. Na miejscu: telefon, radjo, patefon i zapewniony bridż. Ceny w jednym i drugim dworze przystępne. Letniska otwarte od 1 maja — może już w tej chwili zajęte, ale odpowiedzi wcześniej nie mogliśmy dać, bo adresu łaskawa Pani nie podała — dokładnego. Życzymy miłego wypoczynku w wygodnym i gościnnym polskim dworze.

P. W. Z. w Opatowie. Oczywiście, że najgoręcej popieramy Pani zamierzenia. Niech Pani zechce zwrócić się o ścisłe informacje do „Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej", Wierzbowa 9, a niezawodnie wszystkie informacje będzie Pani miała. Nie czas wtedy się uczyć, kiedy już zawierucha huczy. W spokoju i systematycznie należy przejść kurs, którego szczegóły da Sz. Pani p. J. Huberowa, przewodnicząca Sekcji Organizacji i Prowincji. Jeśli odnośna ilość kobiet zamelduje się do nauki w Opatowie, niczego nie zaniedba p. Huberowa, aby paniom przyjść z pomocą.

Pani W. Sk... w Piastowie. Laureatką nagrody literackiej Ministerstwa W. R. i O. P. była p. Zofja Nałkowska. Ale to już było ogłoszone, we wszystkich pismach, w grudniu roku ubiegłego. Musiało ujść pamięci Pani, chętnie odpowiadamy na zapytanie, zawsze gotowi do usług naszych Szanownym Czytelniczkom.

Piękne myśli i wskazania

Ubóstwo — to upiór, który z ludu wysysa siły a zarazem: pracowitość, wesołość, ciekawość i wszelkie pobudki do duchowego rozwoju. Przy nędzy niepodobna marzyć o świecie, ani o zaletach obywatelskich. I dlatego, najpierwszą troską inteligencji powinno być: wskazanie ludowi takich dróg, na których znalazłyby obfitszy pokarm i zdrowsze, nieco wygodniejsze, aniżeli dziś, warunki bytu. *Bolesław Prus.*

(Nb. pisane w 1912 r. a mimo to — trwamy i trwać będziemy — Przypisek Redakcji).

* * *

Budujmy wszyscy! bo każden, co zdoła
Myśl dobrą przelać w gorliwe działanie:
Współpracownikiem wszechwieków się stanie,
Przyniesie trud swój do Prawdy Kościoła.

Deotyma.

* * *

Niepokonaną energja w pracy, głęboka mądrość, niezachwiany porządek, oto zalety, które społeczeństwom dają możność potęgowania sił życiowych. Kto chce bawić się, odpoczywać, albo wzdychać, niech odrazu idzie do szlachtuzu. Świat należy do dzielnych ludzi; dla niedołęgów niema na nim miejsca, a gdyby nawet było jakie, to wkrótce go zabraknie... Jest już bowiem coraz trudniej nietylko o chleb, ale nawet o powietrze.

KĄCIK DLA DZIECI

PODRÓŻ SKRZATA.

W całym domu hałasu było coniemiara — jak zwykle przed wyjazdem na wakacje. Mama pakowała, dzieci przynosiły rzeczy „koniecznie potrzebne” podczas wakacyj — nie wszystko zyskiwało łaskę w oczach mamy, było trochę gniewu, trochę pisku i zobopólne ustępstwa. Zwłaszcza gdy tatuś wrócił z miasta i przyniósł śliczne wiaderka i łopatki — żal rozpłynął się w radości. Przecież to najważniejsze nad morzem!

Skrzat domowy, Polikarp, siedział za piecem i wyglądał niepostrzeżenie na pokój — znał te przygotowania przedwakacyjne i wiedział, że się to i owo zapomni, więc bystro przeglądał wszystko, by zapomniane rzeczy w ostatniej chwili przed zamknięciem kufrów niepostrzeżenie nasunąć na oczy pakującym. — Nad morze jadą — rozmyślał — tyle ja słyszę o tem morzu naszem, a nigdym go na oczy nie widział a żeby tak zabrać się z niemi!? — tak go ta myśl opanowała, że sobie rady dać nie mógł. — Pojadę i już!... postanowił. Trochę go sumienie gryzło, że tak mieszkanie samo zostawi i Kasi nie będzie miał kto podszeptywać co zrobić trzeba; ale przypomniał sobie, że o ścianę, kum jego, Zacheusz, mieszka. Kiedyś tamten wyruszył w świat, a on go parę miesięcy zastępował, teraz go o podobną przysługę poprosi. Jak pomyślał, tak i zrobił — i gdy pociąg ruszył, nikt nie domyślał się, że w fałdach pokrowca walizki jedzie skrzat Polikarp nad morze. Długa to była jazda i zmęczyła setnie skrzata nie nawykłego do podróży. Przyjechali późną nocą. Wśród gwaru rozpakowywania mało nie zgniotło Polikarpa wieko gwałtownie otwartej walizki, w ostatniej chwili ratował się ucieczką za piec i tam znużony usnął mocno.

Zbudził go szum niezwykły i dźwięczne głosy dzieci. Zaspany przetarł oczy — gdzie ja to jestem? ach! prawda! W chacie rybackiej nad morzem... wczoraj przyjechaliśmy — przypomniał sobie. Wyjrzał. W izbie już nie było nikogo. Wyszedł więc zza pieca, przeszedł próg. Świeże ostre powietrze zakręciło mu w nosie — więc kichnął potężnie. — „Daj Bóg zdrowie” — ozwał się głos cienki koło niego. — Dziękuję — odparł i obejrzał się zdziwiony; a koło niego stoi skrzat, w ciemnem ubraniu, w butach ponad kolana, w rybackim kapeluszu i z krótką fajeczką w zębach — i „ktożeście, przybyszu?” — pyta. — Zapewneście gospodarzem tutejszego domostwa? — odpowie Polikarp i kto jest i skąd wykłada. — A ja się zwę Kuba, tutejszej „checzy” strzegę od prawieka. Gość w dom, Bóg w dom! Bywajcież na tym polskim brzegu! — Kaszuba ja wierny w sercu Rzeczypospolitej — jak to przysłowie nasze powiada: Nie ma Kaszub bez Polonji a Polści bez Kaszub. Zdrożeniście pewno i głodni, chodźcież tedy wędzoną rybką się posilić, a potem wam morze pokażę.

Dziwował się Polikarp morzu szerokiemu co szumiało falami i białą pianą z cichym pluskiem na brzegu się kładło, a złociło w słońcu. A już najcudniejsze to mu się zdały te zachody słoneczne. Paliło się niebo, z obłoków dziwy się układały, a morze całe zalane było blaskami czerwieni i złota, to znów niby pawie oko się mieniło. Siadały wtedy skrzaty w kąciku łódki i Kuba prawił: o życiu rybackiem, o burzach zimowych, gdy wichry chatę chcą obalić, a zwały śniegu okapu sięgają. W te długie wieczory zimowe przy błysku małej lampki opowieści się snują — o dziwach morskich, o przygodach przeżytych, o dalekich połowach, o burzy co małą łódkę-łupinkę rzuca po falach, o oczekiwaniu w trwodze, czy powrócą ci, co w taki czas na morze ruszyli. — Oj! Strach to musi być okrutny w takiej chwili — szepnął Polikarp, który raz tylko za namową Kuby na łódkę się z nim wślizgnął i po spokojnem morzu płynął, ale wzruszeń i niepewności zadość użył. — Strach?! — powtórzył Kuba — e nie... niebezpiecznie to jest, ale trzeba odwagę mieć, dobrze uważać, a na Bogu polegać — to się cało wróci. — To znów prawił Kuba o czasach dawnych, o marynarce Króla Jegomości Władysława IV, o bojach ze Szwedami o niewoli latach ciężkich i o nowej chwale Rzeczypospolitej, o małej flocie i o Gdyni, mieście portowem, co jak w bajce na pustkowiu wyrosło.

Jak sen minęło to lato Polikarpowi. Zżył się z tem morzem sinem, z piaskiem nadbrzeżnym, z ludem onym rybackim i z ciężkiem sercem sposobił się do powrotu do miasta. Namawiał go Kuba, by został z nim na zimę, bo dziwnie do siebie przylgnęli, ale pokręcił Polikarp głową. — Wrócić to może Bóg da i wrócę na rok przyszły, ale teraz obowiązek woła. Wracać trzeba! A któżby dzieci do snu usypiał? — jeno teraz nie bajki będę im prawił, ino historje te prawdziwe, com od ciebie słyszał i będę ich uczył kochać morze nasze, by gdy dorosną byli mu wierni i w sercu je nosili.

H. Rostafińska-Choynowska.

SANDOMIERKA...

A ta sandomierska złocista pszenica,
Co swoją dobrocią świat cały zachwyca,
Szumi: patrz Wisełko, jakem ja wyrosła,
Będziesz na galarach niedługo mnie niosła,
Poniesiesz na grzbiecie złote ziarnka zboża.
Dopłyniem Wisełką do polskiego morza.

H. Rostafińska-Choynowska.

BILETY WIZYTOWE

R. NYRAZAM.	B. KYAR.

Z podanych nazwisk ułożyć zawód danych osób.

DZIEŃ MORZA

Huczą działa, dzwonią dzwony
Echo niesie dźwięki...
Wszędy barwy narodowe,
Światła, kwiecia pęki.
Tłumy całe ponad brzegiem,
Wielkie ludzkie mrowie,
Stoją cisi, zapatrzeni...
A głowa przy głowie.
Z całej Polski dziś przybyli
Na to morza święto —
Wielka miłość ich tu wiodła
Mocą niepojętą.
W blaskach chwały Gdynia stoi,
Ta morza królowa,
Tak wrośnięta w serca nasze,
A tak młoda, nowa.
Więc niechaj ta chwila wzruszeń,
Pełna dobrych chęci,
W myśl o flocie się zamieni
A czyn niech się święci!

H. R. Ch.

TAŃCOWAŁY RYBKI

Tańcowały w morzu rybki,
Trzy makrele, węgorz chybki,
Pięć sardynek, cztery śledzie
I meduzki dwie...

Flądra, co w piasku leżała,
Takt ogonem wybijała,
Tańcowała rybek chmara —
Jak się która zwie...

A wtem szczupak nic dobrego
Wpadł w środek balu onego
W paszczę otwartą szeroko
Złapać rybki chce...

Uciekają małe rybki,
Trzy makrele, węgorz chybki,
Pięć sardynek, cztery śledzie.
I meduzki dwie...

H. R. Ch.

GRYMASEK

Oj! Przyszedł dziś do Haneczki
Grymasek, grymasek!
Nieczesany, potargany,
Kudłasek, kudłasek.
Muchy w nosku, buzia krzywa,
Haneczka się to nazywa
Kumoter, kumoter.

A weźże Haneczko
Mocny kołek z płota,
Niechże precz ucieka
Od ciebie niecnota.

A weźże Haneczko,
Tę rózgę z brzeziny,
Wypędź, niech ucieka,
Choćby trzy godziny.

Uciekł precz grymasek,
Śmieje się Haneczka:
Przegnała grymaska —
Odważna dzieweczka.

H. R. Ch.

Redaktor: **Dr. Józef Zawidzki.** Wydawcy: **Stow. Mis. XX. Pallotynów.**
Redaktorka działu kobiecego: **Lucyna Kotarbińska.**

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

CIESZMY SIĘ LATEM!

SZARADA

Skrapiam hojnie majową pomorkę, —
bujnie rozkwitły słabiutkie **sześć-drugie**...
Tych traw świeżością i barw kwietnych orgją
paść lubię oczy przez godziny długie...
Ten czar tajemny, gama barw gorących,
ta mowa cicha całego żywiołu,
melodja ptaków, żar słońca drgający,
raz chmury lekkie, to ciężkie jak ołów
i **jedenasty-wspak czwarty** w błękicie,
gdy się przygląda w zwierciadle jeziora...
Jakieś uczucie się wkrada w me życie
silniejsze wiele, niż rana Amora.
Jam szczęśliw, — chociaż świat zimny jak skała, —
bo w duszy mojej skrzy słońca się gwiazda, —
a unja nasza tak silna i trwała,
jak stal **szesnaście wspak-jeden-trzynasta**.
Łagodnie łany falują zbożowe,
tuż **trzy-trzynasta**... Ozdobą jej astry,
widać też maki i główki chabrowe,
nie zapomniano o **tuzin-szesnastym**.
Lecz dusza moja się rwie na wiszary!
Raz-siedem-drugie mi się szczęścia szczyty!...
Wciąż bez wytchnienia przez tamy, opary
mknie naprzód umysł mój wrażeń nie syty!
Znów jakiś **ósmy** zasłania mi metę!
W mgławicy **osiem-czternastego** błądzę...
Nadzieja moim steruje okrętem...
Muszę przełamać przeciwności moce!...
Radość do serca mi spływa lawiną — — —
Taką ochotę do **dziesięć-piątego**
przeróżnych myśli i wrażeń mam dziwną...
Czarem się sycę widoku cudnego...
Czwarte-piętnaste ode mnie tu macie:
Takich i innych barwnych wzorów kopy
znajdziecie w lata tęczowej wprost szacie...
Lecz jeśli zechce ktoś być mizantropem:
Mendel-tuzinna Trzy-mendel-szóstego
stoi wakansem w **Dziewięć wspak-pierwszym**:
Niech nosi ubiór z liścia figowego,
chodzi w **jedenastym-wspak dziewiątym-pierwszym**.

Maks. Rossa.

PRZEPLATANKA



Podana figura składa się z 3 pierścieni przeplatających się wzajemnie. W kratkach pierścieni należy wpisać zegarowo litery wyrazów krzyżujących się. Wyrazy mają wspólne litery początkowe względnie końcowe. Głównem rozwiązaniem są dwa aktualne wyrazy: a) z liter w 8 kratkach zewnętrznych, podwójnie obramowanych i b) z liter w 4 kratkach koła wewnętrznego, — które podać można bez wyrazów przeplatanki. Dla ułatwienia umieszczone są w niektórych kratkach właściwe litery.

Znaczenia wyrazów:

Cyfra podana przy każdem znaczeniu, oznacza ilość liter szukanego wyrazu.

Pierścień I. (Początek u góry w obramowanej kratce z kropką). Rosły wół podolski (6). Król Babilonji (7). Arcykapłan japoński (5). Dobra klasztorne pod zarz. opata (7). Herb polski (7). Stopniały i stwardniały minerał wulkaniczny, wyrzucany z lawą (5). Prawodawca spartański (6). Hołysz (5).

Pierścień II. (Początek w kratce z kropką, koła wewnętrznego). Płyn gęsty do łowienia much (3). Płyta rytowana do odbijania z niej rycin (7). Rzeźbiony aniołek (6). Skrytka na pieniądze (6). Eg. bóg, opiekun podróżnych (6). Członek koczowniczego ludu staroż. środk. Azji (5). Gr. bogini mądrości (5). Kochanek, amant (6). Sitowie, oczeret, rodzaj wodorostu (6). Roman zdrobniale (5). Buławka żelazna z krótką rękojeścią (5). Inaczej: uczuciowo, tkliwie (5). Pozostałość po odjęciu jednego atomu wodoru od etanu (5).

Pierścień III. (Początek w kratce z cyfrą 1). Wyspa Japonji (4). Chmura rzadka białawego koloru (5). Przełożona w zakonie (6). Staroż. nazwa pasma gór na Krecie (3). Żona Dżetosa (5). Boginka słow. (3). Przedsiębiorca wyposażający okręt do żeglugi, w l. mn. (9).

Maks. Rossa.

TRIUMF (Szarada)

Cieszą się wszyscy **ósmi i drudzy**:
zima nareszcie świata nie studzi,
choć **siódmego, jak czwarty**, deptała
i lodowcami skuła, jak skała,
dziewiąte-pierwsze ziemi i ludzi.
W tem — **druga-trzecia** i triumf słońca:
skończone **pierwsze-piąte** mrożące,
spłacona zimie droga **pięć-trzecia**...
Co **osiem-dziewięć**, nie zginie w świecie,
sześć-siedem-osiem dobro na końcu!

„Kasta” (czł. Kl. Sz.).

ROZSYPANKA W MAKACH



Z liter rozsianych wśród liści i kwiatów ułożyć myśl (Fr. Morawskiego) na temat życia. Dla ułatwienia podajemy litery początkowe i końcowe wyrazów:

Ż...e l....e p.....e do ż...a r.....y,
m..l p......m, s... o k.....m, a o....m c...y.

„Liga”.

Za rozwiązania zadań powyższych (lub choćby jednego) przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrody książkowe**. Termin nadsyłania rozwiązań **trzytygodniowy**.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU KWIETNIOWEGO 1936 R.

Szarada: **Zmartwychstanie Pana.**

Konikówka z krzyżówką:
Krzyżówka: **Wsołego Alleluja.**
Konikówka: **Prima Aprilis.**

Rebus: **Dusza człowiecza li przez serce jedynie jako gwiazda świeci.**

Sylabówka: Miłość jest jak cień człowieka:
szkoda, kto dla niej wiek trwoni!
Kiedy ją gonisz — ucieka,
kiedy uciekasz — to goni.

Nagrodę książkową otrzymuje p. **Zofja Fintkowska** z Warszawy.

Z SEMINARJUM DUCHOWNEGO NIŻSZEGO. — Istniejące od 10 lat w Warszawie (ul. Kawęczyńska 49) Seminarjum Duchowne Niższe przygotowuje kandydatów do Seminarjum Metropolitalnego. Pragnący wstąpić do Seminarjum Niższego, muszą posiadać przynajmniej 6 klas gimnazjum, aby po dwuletnim kursie i otrzymaniu matury móc wstąpić do Seminarjum Metropolitalnego. Obecnie można już składać podania osobiście, codziennie od godz. 13-tej do 14-tej. Opłata za naukę wynosi 60 zł. miesięcznie. Utrzymanie w internacie bezpłatne. Kilku najlepszych uczniów otrzymało w r. b. stypendjum od Towarzystwa Popierania Powołań Kapłańskich.

Cena ogłoszeń zatekstowych: $^1/_1$ str. — zł 700, $^1/_2$ — zł 380, $^1/_4$ — zł 200, $^1/_8$ — zł 120, $^1/_{16}$ — zł 70, $^1/_{32}$ — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk.	Ameryka	2 dolary
Francja	23 frank.	Inne kraje	6 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.